# AS



Nr. 12
19 MARCA 1939 R.
CENA 40 GROSZY

MELANCHOLJA

# Molier Krakowa



## WSPOMNIENIE O MICHALE BAŁUCKIM



ANTONI WYSOCKI

Swego czasu, od epokowego założenia tramwaju konnego i pierwszych lat tramwaju elektrycznego wydawane były zabawne kalendarze ścienne. Nie takie, chociaż do zawieszania na ścianie, z których co dnia zrywa się nową kartkę z datą dnia minionego, ale, na jednej karcie, wielkości, dajmy na to, obrusu na cztery osoby. Daty porządkowe dni, tygodni, miesięcy, imiona świętych i nazwy świąt, mieściły się zboku, w wąskich kolumnach, zato na pierwszym planie widniały sylwety, każda osobno, znanych w mieście i na bruku osób, bez względu na ich społeczne stanowisko, czy... „bezstanowisko". Prezydenci miasta, w kontuszach i przy karabelach, delegat namiestnictwa w mundurze, dyrektor kolei, dyrektor policji, profesorowie uniwersytetu, dyrektor muzeum, panowie z palestry i medycyny, a między nimi różne typy uliczne. Sens, koncept, tego kalendarza wynikał z zestawienia ważnych osobistości, jakby się to dziś powiedziało, elity, z charakterystycznemi postaciami krakowskiego, miejskiego ludku. Jegomość z bakenbardami à la cesarz Franciszek Józef I, inny z długimi kotletami bakenbardów à la król pruski a później cesarz niemiecki, Wilhelm I, inny z kozią bródką à la Napoleon III, inny z brodą materacem, — gdyby te brody nazwać monarchicznemi, — to à la Don Pedro, były cesarz Brazylji, dygnitarze, figury. Między nimi dziadówka zpod kościoła św. Barbary, warjat — igraszka uliczników, posłaniec publiczny z zapijaczoną buzią, kwestarz z blaszaną puszką składek na Tow. Szkoły Ludowej. I tak dalej, typy, typki. Tak jak u jednych zarost, zabójcze wąsy i patrjarchalna broda zatrzymywały oko przechodnia, tak znów u drugich coś dziwnego w ubraniu czy zachowaniu się, dawały w zestawieniu rysunkowem jednych z drugimi wrażenie i obraz przeciwieństwa między wzniosłością a śmiesznością.

Na tem przeciwieństwie polega, w niem tai się chochlik dowcipu, jak to niegdyś zdecydował sąd konkursowy redakcji tygodnika humorystycznego „Fliegende Blätter".

Postaci przedstawionych na krakowskim kalendarzu ściennym nie traktował rysownik karykaturalnie. Wygląd postaci skopjowany był zgodnie z prawdą, tyle, że one w tem zestawieniu, same przez się, stały się karykaturami.

Ten to światek ówczesnego Krakowa był warsztatem doświadczalnym, laboratorjum, twórczości Michała Bałuckiego, komedjopisarza, powieściopisarza, poety.

Nasuwa się myśl pewna, daleka, czysto zresztą wzrokowa, analogja.

Do dziś ubogim dzielnicom miast angielskich sprzedają handlarze starzyzny przechodzone, podniszczone ubrania. Moda sfer zamożnych zmienia się szybko, ale u nędzy nigdy. Stąd cudzoziemca uderza widok rażącego braku symetrji między wychudłemi głodem twarzami, brudem i grubem obejściem, a wyświechtaną elegancją i szykiem zużytych ubrań sportowych, spacerowych i balowych. Widok mężczyzn w wytartych, niezręcznie połatanych marynarkach, jaskółkach i frakach, i widok kobiet w jedwabiach, rozlatujących się w strzępy.



Michał Bałucki, według współczesnej karykatury F. Brylla.

Podobnie wyglądali w Krakowie wtedy ludzie zdeklasowani ze swej poprzedniej sfery, „wysadzeni z siodła" i równie biedni, w nie kupionych, ale przez Towarzystwa Dobroczynności darowanych, drogą zbiórek uzyskanych, ubraniach, niegdyś paradnych. Okrywały te szmaty znużone członki „pańskich dziadów" i „nędzę w rękawiczkach".

Stałe od lat powodzenie komedyj „Dom otwarty", „Klub kawalerów", „Gęsi i gąski", „Grube ryby" i „Radcy pana radcy" przysłoniło wartości artystyczne innych utworów Bałuckiego, powieści i pełnej bystrej spostrzegawczości minjaturowych obrazków obyczajowych. Zmysł satyryczny na podłożu sentymentu i dar w kreśleniu cech charakterystycznych ukazują zbliska atmosferę życia domowego w tych czasach.

Jako student uniwersyteu wsłuchiwał się w opowiadania starszych wiekiem, o zdarzeniach zaszłych w latach, gdy Kraków był jeszcze wolnem miastem, a Wisła stanowiła granicę. (Prześwietną charakterystykę duszy Krakowa dał Boy w książce „Znaszli ten kraj?..."). I później, w pełnym toku swej pracy pisarskiej, zapoznawał się Bałucki z osobami, których zewnętrzny wygląd nęcił jego wrażliwość artysty. Szczególniej zaciekawiali go ludzie, jak cienie, przesuwający się po ulicach i Plantach, krokiem chwiejnym, ociężałym i beznadziejnym. O wyglądzie niby mebli-antyków, zadziwiających oryginalnym kształtem, ale już poza prądem bieżącego życia.

Ta staruszka o żółtej twarzy, koloru zapleśniałej cytryny, okryta aksamitną fioletową mantylą... wykrygowani dandysi miejscy... wąsaty dorożkarz w drelichowym kubraku, na koźle dorożki niebiesko pomalowanej... ten bankrut w cylindrze zatłuszczonym i pomiętym, i w czarnym niegdyś, teraz wypłowiałym i pozieleniałym ze starości surducie, zapiętym pod szyję.

To przygodni znajomi...

Widok ich grał na jego wyobraźni. Nikłe ich słowa, o zazwyczaj smętnej doli notował w pamięci, zbierał wzorki, w podświadomym celu odtworzenia piórem ich przeżyć i ubarwienia literacką fantazją.

Materjału dla tworzywa literackiego były pełne oczy.

Powieściopisarz Honorjusz Balzak powiada w jednem z dzieł, że nigdzie nie da się widzieć tyle nieraz brzydkich i źle ubranych kobiet, co w zapadłych prowincjonalnych kątach. Nuda przytępia nerwy i napawa umysł rezygnacją. Więc ani się ubrać, ani strojniej uczesać, bo i dla kogo? — dla kogo snuć bezpłodne marzenia i pragnienia? Apatją odbija się w twarzach nieczułych, nieledwie martwych, w oczach przygasłych, w ruchach drewnianych, tak jak i we wiecznie tychsamych ubraniach i kapeluszach. Co krok spotyka postacie podobne do starych żurnali mód.

Patrząc na to, żal i śmiech bierze.

Taką, w pewnych odcinkach, prowincją był Kraków.

Dostojny patyną historyczną, „kamienna kronika Polski", Kraków Szujskiego, St. hr. Tarnowskiego, K. Morawskiego, Smolki Matejki.

Ale...

Bałucki nie kusił się o laury historyka przeszłości. Źródłem natchnienia była mu rzeczywistość, a ta dziś, wraz z plonem jego pracy, przeszła do historji. Był synem epoki pozytywistycznej, piewcą realnych przejawów „komedji ludzkiej".

Grubas, pękaty, o grubych i mocnych rękach, szerokiej twarzy, bystrych przenikliwych oczach i pobłażliwym uśmiechu. Groteskowem piórem ukazał w „Domu otwartym" Fujarkiewicza i Fikalskiego. Dał w „Grubych rybach" biurokratów, ramolów, spóźnionych romantyków, Wistowskiego i Pagatowicza, okazy niemal kliniczne. O nich, o tych dwóch, w jednym ze swych feljetonów teatralnych Kornel Makuszyński wyraził się „śledziona i wątroba". Trzeba dodać, że kreowali te postacie Kazimierz Kamiński i Mieczysław Frenkiel. Lirykiem był w poezji, w swych licznych drobnych wierszykach. O rozległej skali była jego literacka twórczość. A nad nią, prócz dramatu „Flirt", górował śmiech zdrowy i krzepiący.

Wydawałoby się wprost nieprawdopodobnem, jak skończył?

Samobójstwem!

Zatruli, zagryźli go krytycy. Nie wybaczyli utworom słabszym. „Już się ludzie na komedjach Bałuckiego nie śmieją... Drzemali na „Walce kobiet" i na „Ciepłej wdówce" z trudnością tłumili ziewanie" — pisał krytyk K. E. Za pierwszych świtów Młodej Polski inny krytyk, L. R., poeta i autor dramatyczny, nie przewidując, co o nim inny poeta i przyjaciel napisze, wytykał Bałuckiemu „kołtuństwo".

Pan Michał czytał te urągania. Jednego pięknego poranku poszedł na Błonia, i patrząc zdaleka na Kraków, zastrzelił się.

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

ZAŁOŻYCIEL I WYDAWCA: MARJAN DĄBROWSKI
REDAKTOR: JAN MALESZEWSKI
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). - TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.
PRZEKAZ ROZRACHUNKOWY Nr. 11 PRZEZ URZ. POCZT. KRAKÓW 2




ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.
CENA NUMERU W LITWIE 50 CT.



**Numer 12** **Niedziela, 19 marca 1939** **Rok V**

## ASY NUMERU 12-GO:



*Fot. Wide World*

**Za najlepsze filmy udziela amerykańska akademja filmowa raz po raz nagrody honorowe ich twórcom: ostatnio też nagrodzono znakomitego „odkrywcę" Mickey Mouse Walta Disney'a za film „Królewna śnieżka i siedmiu karzełków" a przemiła Shirley Temple wręczyła mu nagrodę.**



Na lewo: Wygląd wieży Eiffla w nowem otoczeniu: obok Nowe Trocadero.

Ludzie zawsze starali się zbliżyć do nieba: zdawało się im, że budując wysoką wieżę, której wierzchołek ginął w chmurach staną się bliżsi i milsi Bogu, że będą mogli, jak Jakób z Starego Testamentu — podnieść się wzwyż po stopniach zbudowanych przez siebie budowli. Ale zarazem grała u nich dużą rolę próżność: przewyższyć to co już było, wykazać coraz większą wytrwałość, zdolność, zaćmić wszystko dotychczasowe — oto dalszy ciąg ich rozumowania.

Powstawały więc wieże we wszystkich wiekach:

czasy antyczne dały nam piramidy egipskie, Cheopsa, Chafra i Menkera,

czasy wczesnego średniowiecza słynne wieże rozsiane po całym świecie, a strzegące świątyń i warowni,

czasy gotyku smukłe, w niebiosa dążące wieże katedr w Reims, w Kolonji, św. Stefana, Notre Dame.

Natomiast renesans, a cóż dopiero rococo wolały pozostawać bliżej ziemi uważając, że znają ją lepiej od niebios, i że raczej tu należy szukać pociechy, niż gonić za nią po lazurach nieba. Z tych też czasów nie mamy strzelistych, kamiennych dowodów ludzkiej tęsknoty za tem, co nazywamy niebem i jego tajemnicami.

Wiek XIX., rozedrgany stukiem maszyn, napęczniały jak balon parą, miotający się już w drgawkach elektrycznych, zbudował wieżę Eiffla. Może to był również hołd złożony Stwórcy, a może tylko „corpus delicti" pychy człowieka, jakaś nowoczesna wieża Babel, za pomocą której człowiek chciał wykazać, że jest potężny, że nie boi się praw natury i wszystko jest dla niego dostępne? Nie wiadomo, sam inżynier Eiffel niestety nie pozostawił nam żadnych bliższych szczegółów.

Kolos z żelaza, panujący nad Paryżem, symbol postępu, stojący okrakiem nad miljonową metropolją Zoli i Pasteura, Henryka IV. i Robespierre'a, nad miastem „Moulin Rouge'u" i pracowni Curie-Skłodowskiej, znalazł swych dziejopisów, wcisnął się tysiącznymi artykułami do gazet, encyklopedji, książek... Aż przykro poprostu powtarzać te szczegóły, tak, zdaje się, są znane i ‚oklepane'. Dla tych, którzyby ich nie znali, powtórzymy je — było nie było — raz jeszcze, ale krótko, treściwie. Curriculum vitae wieży Eiffla jest ciekawe, ale ciekawsze są rzeczy, które się dzieją naokoło niej, ciekawsze jest jej życie psychiczne.

# WIEŻA W BALZAKOWSKIM WIEKU

Pięćdziesięciolatkę zbudowano w r. 1889. Dnia 31 marca tegoż roku prezydent Republiki Francuskiej, Sadi Carnot, wygłosił wspaniałą mowę, oddając wieżę Eiffla do publicznego użytku. Na jej szczycie pojawia się olbrzymia, 7-metrowa chorągiew trójkolorowa. Paryż nie mówi o niczem innem, jak tylko o wieży, poeta Verlaine bierze dorożkę, by ją obejrzeć, ale zobaczywszy zdaleka, każe zawrócić oświadczając, że jest ohydna. Ojciec wieży, sam p. Eiffel, oświadcza z zdziwieniem: „nie rozumiem, dlaczego ludzie zachwycają się piramidami, a uważają moją wieżę za śmieszną?" Może grała tutaj rolę perspektywa i oddalenie. Pierwsze uderzenie łopaty pod fundamenty wieży zrobione zostało dn. 26 stycznia 1887 r., a wybudowanie jej kosztowało 7,800.000 franków. Od chwili wybudowania aż po dziś dzień przemalowano wieżę siedem razy: jednorazowa „tualeta" pięćdziesięciolatki zużywa 35 tonn farb! Eiffel zainstalował na szczycie wieży telegraf systemu Chappe, stworzył też laboratorjum aero-dynamiczne, a później, gdy radjo udoskonaliło się, zainstalowano na wieży stację radjową, która podczas wojny światowej grała ważną rolę. Pierw-









Oto trzy fazy budowy wieży Eiffla: na pierwszem zdjęciu zaczyna się budowa II piętra (15 maja 1888), na drugiem zdjęciu budowa II piętra jest już ukończona (21 sierpień), na trzeciem widzimy już III piętro wieży (28 grudzień).



Na prawo: Gustaw Eiffel, twórca słynnej wieży. Zdjęcia: Wide World.

sze urządzenie radjoelektryczne zostało założone w r. 1909 z siłę 100 koni, pozatem znajduje się na wieży placówka meteorologiczna, a od r. 1912 wieża Eiffla podaje dokładną godzinę całemu światu. W okresie dziesięciu lat, tj. między 1925—1935 wieża Eiffla przynosiła rocznie dochodu 600.000 franków, utrzymanie jej jednak kosztuje rocznie 1200.000, gdyż personal. obsługujący wieżę jest, rzecz prosta, liczny, obejmując stale 30 robotników, 10 dozorców i 10 windziarzy. Przez olbrzym ten, ważący 7 miljonów kilo, posiadający cztery windy, w dniu otwarcia przewaliły się tłumy ludzkie, obliczane na 300.000 osób, a w złotej księdze, w której wpisywali się najwybitniejsi zwiedzający figurują podpisy królowej Wiktorji, jej syna Edwarda VII i jego żony, Tomasza Alvy Edisona, przyjaciela Eiffla, niezliczonej ilości książąt, miljonerów, pisarzy, malarzy, słynnych inżynierów; m. i. zwiedzał ją znany dziennikarz Piotr Labric, który w r. 1923 zjechał na rowerze 347 stopni, prowadzących w górę od pierwszego piętra.

* * *

Oto kilka dat i szczegółów realnych, mówiących o ciele giganta. O wiele więcej dałoby się powiedzieć o duszy jego, o tej duszy, której sam nie ma, ale którą mu stworzył Paryż. Bo wieża Eiffla to dusza Paryża, ożywiona jego tchnieniem, płacząca jeko łzami, śmiejąca się jego śmiechem, marząca o tem, o czem marzy stolica.

Naokoło wieży Eiffla zacieśniają się wspomnienia: coraz bardziej smętne, jesienne, powracające ciągle do lepszych czasów, kiedy to Paryż oczekiwał żelaznego potwora. Chociaż Francja przechodziła (wtedy jeszcze przez trudności, które pozostały po wojnie francusko-pruskiej, to jednak odnosiła znów sukcesy, świadczące o jej żywotności i rokujące )najlepsze nadzieje na przyszłość.

Dzisiejszy Paryż i dzisiejsza Francja dawno już straciła to optymistyczne nastawienie, jakie cechowało je do niedawna. Paryż stał się siedliskiem wszelkich nacyj, wśród których niema nieraz już miejsca dla rdzennych Francuzów. Paryż zaczyna przypominać antyczny Rzym, w którym wszystkie języki świata się słyszało, gdzie jednak charakter rzymski coraz bardziej ustępował nowej, międzynarodowej, mieszanej i obcej kulturze. Na tle tych wszystkich wydarzeń coraz częściej spotyka się w literaturze francuskiej, w prasie, wspomnienia, które dziwnie przypominają westchnienia pięknej ongiś kobiety, przeżywającej obecnie jesień swego życia. Jeżeli Balzac określił tę jesień życia na wiek lat 40-tu, to nie bez słuszności będzie stwierdzić, że wieża Eiffla, która wprawdzie obchodzi w roku bieżącym swoje 50-lecie, również znajduje się w tym balzakowskim wieku, nie tyle pod względem fizycznym, ile pod względem psychicznym jako synonim Paryża i Francji.

**JGM.**



**Na lewo: Fragment ogólnego widoku Paryża — widzianego z jednego z pięter wieży Eiffla.**



Gmach teatru „Kabuki-za“ w Tokio.

# SZEKSPIR W NIEŁASCE U JAPOŃCZYKÓW

Wielkie zdziwienie w kulturalnych kołach w Europie wywołała ostatnio wiadomość o zakazie władz policyjnych w Osaka wystawienia w jednym z tamtejszych teatrów szekspirowskiego „Hamleta“. Policja uznała, że przedstawienie stosunków na dworze królewskim obraża moralność publiczną, a ponad to, że „Hamlet“ zawiera dużo niebezpiecznych myśli. Omawiając to dziwne rozporządzenie, prasa europejska słusznie dopatrywała się w niem jednego z aktualnych przejawów umysłowości japońskiej, t. j. „japonizacji Japonji“, a więc odwrotu od kultury zachodu.

„Japonizacja“, czyli nawrót do tradycji, widocznie zapuściła już głęboko korzenie w Nipponie, jeśli władzom nie podoba się nawet Szekspir, dotychczas ulubiony przez Japończyków dramaturg. Przecież jeszcze w ubiegłym roku w Japonji, z okazji zgonu wybitnego anglisty prof. Cubouci‘ego, toczyły się dyskusje uczonych, dlaczego to Szekspir cieszy się taką popularnością wśród młodego i starszego pokolenia „Synów Wschodzącego Słońca“. Otóż trzeba wyjaśnić, że do Japończyków silnie przemawia nie forma, lecz treść dramatu angielskiego. Widzą bowiem w nim podobieństwo do japońskiego i analogję rozwoju wypadków. Okres feudalny w Japonji, to wierne odbicie średniowiecza europejskiego. Dramaty królewskie w Anglji są zupełnie zrozumiałe dla każdego Japończyka, a walki Białej i Czerwonej Róży, to nic innego, jak boje rodów Tajra i Minamoto. Nic więc dziwnego, że już w 1884 roku przełożono na język japoński Juljusza Cezara, a od kilkunastu lat wszystkie dzieła Szekspira są przetłumaczone z obszernymi komentarzami. Rzeczywiście imponująco wygląda 40 tomów dzieł Szekspira z napisami „Sie-ku-su-pi-ja“. (Inaczej nie potrafi Japończyk oddać w swojem piśmie nazwiska wielkiego dramaturga angielskiego). Zabawnie poniekąd brzmią też dla Europejczyka tytuły: „Makubesu“ (Makbet), „Osero“ (Otello), „Hamuretto“ (Hamlet), „Koriorenasu“ (Kordjan) itd.

Przetłumacznie i wydanie w japońskim języku wszystkich utworów Szekspira w 40 tomach, jest dziejem profesora tokijskiego uniwersytetu, dr. Juzo Cubouci‘ego. Jest to wynik jego żmudnej, 50-letniej pracy. Rozpoczął ją w 20 roku życia, zasiadając jeszcze jako student w 1884 r. — jak poprzednio zaznaczyłem — do przełożenia na język japoński Juljusza Cezara. Od tego czasu niezmordowanie, z mrówczą cierpliwością, przyswajał swym rodakom dzieło za dziełem Szekspira. Równocześnie wzrastała jego sława jako krytyka, głębokiego znawcy i reformatora literatury japońskiej. Liczne rozprawy i dzieła z tego zakresu zjednały mu miano japońskiego Lessinga. Prof. Cubouci założył szekspirowskie muzeum przy uniwersytecie Laseda i on patronował aż do końca swego życia (zmarł w ubiegłym roku) jako honorowy prezes „Towarzystwa Szekspira“ w całej Japonji. Zbiory w muzeum i 40 japońskich tomów Szekspira, wywołały zdumienie nawet „wielkiego kpiarza“ G. B. Shawa, gdy zwiedzał przed kilku laty Japonję. W swem muzeum prof. Coubouci starał się zgromadzić wszystko to, cokolwiek ma związek z Szekspirem. Już przed samym budynkiem, wystawionym w stylu elżbietańskim, uwagę widza przykuwa ogród, w którym znajdują się rośliny, wymieniane przez Szekspira. Nad wejściem umieszczono napis po łacinie: „Totus mundus agit histrionem“. — Muzeum posiada bibljotekę, złożoną z 15 tys. tomów, traktujących o dramacie. Autorami pięciu tysięcy dzieł są Japończycy i Chińczycy. Reszta zbiorów składa się z prac, napisanych w różnych językach europejskich. Przepiękna galerja obrazów, wyłącznie z zakresu teatrologji, liczy 30 tysięcy egzemplarzy. W oddzielnej sali zebranych jest 200 przedmiotów, dotyczących sztuki dramatycznej, jak maski, kostjumy, peruki, dekoracje i instrumenty.

W ślady prof. Coubouici-ego wstąpił teraz dr. Sanki Icikała z Cesarskiego Uniwersyteuu w Tokjo, przejmując na siebie zadania i cele mistrza. Przeprowadza się w dalszym ciągu badania, urządza się odczyty z filmami, przedstawienia, utrzymując ożywioną wymianę z towarzystwami zagranicznemi. — „Dzień Szekspira“ urządzany w Japonji co roku, daje sposobność do propagandy na rzecz angielskiego i zarazem rodzimego dramatu. Przed dwoma laty zebrano z trzech tylko przedstawień szekspirowskich w Tokjo kilka tysięcy jenów, z czego przesłano do Anglji 250 funtów szterlingów (około 6.500 zł.) na odbudowę w rodzinnem mieście Szekspira, w Stratford on Avon, — teatru spalonego w 1926 roku. Dar złożony na odbudowę tego teatru, zapewne jest hołdem, złożonym wielkiemu pisarzowi, ale bardziej znamiennym on jest jako wyraz tego ciekawego faktu, że w klasycznej twórczości angielskiego dramaturga znalazł wschodni, egzotyczny naród pierwiastki silnie przemawiające do jego psychiki narodowej i dokładnie odpowiadające historji Japonji.

Lecz wybuchła wojna chińsko-japońska, a wraz z nią przybrał na sile ruch nacjonalistyczny w Japonji, który potęguje się z każdym miesiącem i znajduje zrozumienie w społeczeństwie, przekonanem, że tego wymaga interes państwa, narodu i dynastji. Filozofowie japońscy do niedawna głosili hasła stworzenia syntezy kultury z tezy (japońskiej) i antytezy (zachodniej). Teraz rzucają już tę myśl i chcą zwrócić naród japoński wyłącznie w kierunku tradycji Nipponu. — Charakterystycznem wydać się musi zjawisko, że najbardziej zagorzałymi zwolennikami tej „japonizacji“ są nie starzy ludzie, którzy pamiętają jeszcze jak chodzili do prywatnej szkoły z dwoma mieczami u boku (będąc synami samurajów), lecz młodzież, która przecież już zaznajomiła się z kulturą Zachodu i z najnowszemi zdobyczami techniki białej rasy. Podobny ruch zaobserwowaliśmy przed kilku laty w armji japońskiej właśnie wśród młodych oficerów, którzy nawet życiem przypieczętowali swój poryw za hasłem nawrotu radykalnego do tradycji.

Dzisiejsza młodzież japońska uczyła się hieroglifów w powszechnej szkole z doskonałych podręczników t. zw. tokuhonów, wydawnych przez Mombusio (ministerstwo oświaty), a które były przepełnione życiorysami bohaterów, siogunów i samurajów. — Z najnowszego wydania tych podręczników usunięto wprawdzie trochę zbytecznych hieroglifów, lecz pozostawiono historyczne opisy przygód i walk z okresu feudalnego. Będą one nadal ważnem podłożem narodowego wychowania najmłodszych pokoleń. Podkreślić wreszcie wypada, że ministrem oświaty jest słynny generał Sadao Araki, który pozostał dalej na swem stanowisku.

Zdjęcie więc „Hamleta“ z afisza teatru w Osaka, należy przyjąć za dowód zastosowania przez Japończyków azjatyckiej doktryny Monroego na jednem jeszcze polu — na polu literatury.

Ten.

## KĄCIK FILATELISTYCZNY




**Znaczki kolonij angielskich, wydane z portretem króla Jerzego VI. U góry od lewej znaczki wyspy Dominika, Trynidadu i Gambji. W środkowym rzędzie znaczki kraju Nyassa, Wysp Dziewiczych i Montserrat'u. U dołu znaczki Grenady, Nowych Hebryd i Basutoland'u.**

Powstanie nowego państwa w Europie będzie również wielką sensacją w światku zbieraczy znaczków, jak i w życiu politycznem. Wydane w czasie październikowych wypadków, rzekomo w małych nakładach, przedruki niemieckie na znaczkach czeskich dla zajętych obszarów, okazały się właściwie pospolitą spekulacją. Dostarczane w aptecznych dawkach, kosztowały horrendalne ceny, a obecnie wogóle nie są notowane przez katalogi. Czy niektóre firmy, które w ten sposób poprawiły sobie budżet, cieszą się dalej względami klientów, to nie budzi chyba wątpliwości.

Teraz jednak sytuacja przedstawia się nieco odmiennie: Słowacja musi wydać własne znaczki, a zanim to nastąpi, trzeba będzie używać jakiś czas pozostałych zapasów czeskich znaczków lub też przedrukować je. Przyjmując tę ostatnią ewentualność, możemy być przekonani, że nowe prowizoryczne wydanie musi być uznane jako pełnowartościowe, jako wydane przez suwerenną władzę, a przez nas będzie bardzo poszukiwane. Jeśli tylko regularne (które?) serje będą przedrukowane, to nakład ich wystarczy na zaspokojenie potrzeb obiegowych i filatelistycznych. Natomiast całe mnóstwo znaczków okolicznościowych znajduje się napewno w tak znikomych zapasach w Bratysławie, że ilość ta nie wystarczy na zapotrzebowanie zbieraczy, choćby tylko w środkowej Europie.

W. H.

Na zapytania licznych Czytelników zawiadamiamy, że znaczki niestemplowane nie są papierami wartościowemi w pojęciu przepisów dewizowych.

# LUIGI PIRANDELLO ŻNAK

NOWELA

PRZEKŁAD Z WŁOSKIEGO HELENY HELLERÓWNY.

Ponieważ Rafaela Osimo wiedziała, że słuchacze uniwersytetu przyjdą nazajutrz rano na klinikę chorób wewnętrznych, poprosiła naczelną siostrę ażeby wniesiono ją na salę, w której ordynator miał wykładać o diagnostyce i położeniu organów wewnętrznych.

Naczelna siostra obrzuciła ją wzrokiem pełnym nagany.

— Chcesz się pokazać medykom?

— Tak, proszę siostry; zanieście mnie tam.

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że wyglądasz jak kościotrup?

— Owszem, ale to nic nie szkodzi. Proszę weźcie mnie.

— Co za śmiałość, patrzcie-no! A czy wiesz, co tam z tobą zrobią?

— To samo co z Nanniną, czyż nie? — powiedziała Rafaela.

Nannina, która leżała na sąsiedniem łóżku, opuściła poprzedniego dnia klinikę. Tu kiedyś, gdy wróciła z wielkiej sali, w której odbywały się wykłady, pokazała Rafaeli swe ciało. Było ono pokryte rysunkami i wyglądało jak mapa. Nakreślono na niem przy pomocy kredki wyraźnie i na właściwych miejscach płuca, serce, wątrobę, śledzionę i najrozmaitsze inne organy.

— I ty doprawdy chcesz poddać się doświadczeniom? — zapytała raz jeszcze naczelna siostra. A potem zgodziła się na jej życzenie.

— Więc dobrze! Zwracam ci jednak uwagę, iż tych znaków przez wiele dni nie będziesz mogła zmyć, nawet szarem mydłem.

Rafaela wzruszyła ramiona i uśmiechnęła się.

— To głupstwo. Proszę mnie tylko tam wpuścić.

Na jej straszliwie wychudłej twarzy zjawił się rumieniec, piękne czarne oczy błyszczały gorączkowo... W nędznem, szpitalnem łożu, wśród grubej, lnianej pościeli zaledwie można było dostrzec jej drobne, dziecięce ciało.

* * *

Rafaela Osimo była starą znajomą zarówno naczelnej siostry jak innych pielęgniarek.

Przebywała już przedtem dwukrotnie na klinice. Pierwszy raz z powodu... Ach, Boże Święty! Dziewczęta stają się często ofiarami, a o nieszczęście nie trudno... A na czem się to mści? Na biednych niewinnych stworzeniach, które dostają się do ochronki dla niemowląt.

Osimo przejęła się bardzo swem nieszczęściem. W dwa miesiące później znalazła się znów na klinice, ledwie żywa, połknąwszy trzy pastylki sublimatu. A teraz znowu przebywała tutaj; tym razem z powodu blednicy rozwiniętej do ostatnich granic. Dzięki zastrzykom arszenikowym stan jej polepszył się nieco i za kilka dni miano ją wypuścić.

Na sali chorych wszyscy ją lubili i współczuli z tem nieśmiałem, delikatnem, uśmiechniętem stworzeniem, której sytuacja była tak tragiczna. A jednak rozpacz Rafaeli nie objawiała się nigdy łzami, ani żadnemi innemi rozdzierającemi scenami.

Za pierwszym razem oświadczyła zaraz, spokojnie i z uśmiechem, że nie pozostaje jej już nic innego jak umrzeć. Ponieważ jednak padła jedynie ofiarą całkiem zwykłej historji, jaka zdarza się tylu dziewczętom, cicha jej groźba przeszła bez większego wrażenia. Wiadomo przecie, że uwiedzione i opuszczone, zawsze mówią o samobójstwie, nie musi się tego brać odrazu dosłownie.

Ale Rafaela Osimo nietylko mówiła o samobójstwie, lecz wykonała to, co zapowiedziała. A potem poczciwe siostry nadaremnie usiłowały dodać jej otuchy pięknemi słowami, prawiły jej o zmiłowaniu Bożem i o pociesze, jaką daje religja. Uczyniła wówczas to samo, co czyniła teraz: słuchała uważnie i z uśmiechem i zgadzała się na wszystko. Widać było jednak, że jej przygnębienie nie ustępowało, mimo że ją tak serdecznie pocieszano.

Nie mogła się już niczego spodziewać od życia, dosłownie niczego. Doznała zawodu i zdawała sobie sprawę z tego, że był on raczej następstwem jej własnego niedoświadczenia, wybujałego temperamentu i łatwowierności, niż winą owego młodzieńca, któremu się oddała, jakkolwiek nie mogła mieć nadziei, że ją poślubi.

Ale nie miała na to siły, aby z niego zrezygnować.

Dla wszystkich innych jej los był rzeczą zupełnie banalną; tylko jej samej wydawał się bardzo ciężki. Przecież tyle wycierpiała. Najpierw to straszne nieszczęście, które spotkało jej ojca, a potem trzeba było pogrzebać wszystkie nadzieje i ambicje... Teraz była już tylko biedną szwaczką, opuszczoną i zdradzoną, jak niezliczona ilość innych koleżanek. Ale pewnego dnia... No tak, tamte wszystkie mówiły tak samo: „Ale pewnego dnia...". I kłamały, gdy to mówiły. Zwyciężeni, podeptani przez los, muszą przecież uciekać się do kłamstw, chcąc sobie ulżyć. Rafaela nie chciała jednak kłamać.

Mimo swej młodości byłaby z pewnością zdała szybko egzamin nauczycielki, gdyby jej ojciec nie był umarł tak nagle. Zamordowano go w Kalabrji podczas wyborów, nie tyle z osobistych ile z politycznych względów.

Baron Barni, którego jej ojciec był wiernym i gorliwym sekretarzem, wziął później, po swym wyborze na posła, sierotę do swego domu. Baron uczynił to głównie dlatego, ażeby uchodzić w oczach swych wyborców za człowieka wdzięcznego i dobroczynnego. W ten sposób Rafaela dostała się do Rzymu. Jej stanowisko w domu Barnich było właściwie niezdecydowane; odnoszono się do niej jak do członka rodziny, lecz była wychowawczynią młodszych dzieci i panią do towarzystwa baronowej; oczywiście pełniła te wszystkie funkcje bezpłatnie. Ona pracowała, a baron szczycił się swem dobrem sercem.

Ale to wszystko nie ciążyło jej wówczas. Pracowała przecie tak chętnie, z takiem zadowoleniem i pilnością, pragnąc pozyskać ojcowską miłość człowieka, który ją przygarnął i w którego domu znalazła opiekę. Żywiła tajemną nadzieję, że ta bezinteresowna, chętna praca, łącznie z faktem, iż jej ojciec stracił życie w ofiarnej służbie, przyczyni się kiedyś do zwalczenia oporu barona, gdy jego najstarszy syn, Ryszard, będzie mu mógł wyznać swą miłość do biednej sieroty. Ryszard przyrzekł jej to. Och, nie wątpił, że ojciec ustąpi, ale narazie oczywiście za wcześnie jeszcze było prosić go o to. Ryszard miał dopiero dziewiętnaście lat, rozpoczął niedawno studja i doprawdy nie miał odwagi zwierzać się z tego wszystkiego swym rodzicom. Lepiej już było poczekać kilka lat... Czekać, czekać... Czy można jednak było czekać, przebywając pod jednym dachem stale razem? Czekać po tylu pieszczotach, zapewnieniach, przysięgach...?

Namiętność oślepiła Rafaelę.

A gdy wkońcu nie można już było ukryć następstw, wypędzono ją. Wygnano ją bez litości, bez najmniejszych względów dla jej stanu. Baron napisał do jej starej ciotki, żeby przyjechała natychmiast i zabrała swą upadłą siostrzenicę do Kalabrji; zaofiarował się nawet wypłacać jakąś małą rentę. Ale ciotka zaklinała go, żeby zaczekał przynajmniej aż połóg się odbędzie w Rzymie, gdyż obawiała się skandalu w małem, prowincjonalnem mieście. Barni ustąpił, lecz zastrzegł się, że czyni to pod tym jednym warunkiem, iż jego syn nie dowie się o tej całej historji. Po porodzie Rafaela nie chciała jechać do Kalabrji: szalejący z gniewu baron groził, że przestanie płacić rentę i groźbę tę istotnie spełnił, gdy Rafaela targnęła się na swe życie. Ryszard wyjechał do Florencji; Rafaela zaczęła pracować u krawcowej, ażeby zarobić na utrzymanie swoje i ciotki. — Minął rok: Ryszard bawił znów w Rzymie, ale nie usiłowała wcale z nim się zobaczyć. Ponieważ gwałtowny eksperyment nie powiódł się, chciała zniszczyć się stopniowo. Ciotka straciła cierpliwość i wróciła do Kalabrji. Jakiś miesiąc temu Rafaela zemdlała w mieszkaniu krawcowej, u której szyła. Zawieziono ją znów na klinikę i miała tam pozostać, ażeby podleczyć się z blednicy.

Przed paroma dniami Rafaela zobaczyła ze swego łóżka przechodzących przez salę chorych, medyków, którzy uczęszczali na wykłady o diagnostyce i położeniu organów wewnętrznych. Wśród nich ujrzała po raz pierwszy od dwóch lat Ryszarda; obok niego szła jakaś młoda pani, zapewne medyczka. Była to ładna blondynka, zdaje się jakaś cudzoziemka. Patrzył na nią w taki sposób, że Rafaela nie mogła mieć żadnych wątpliwości... Widać było, że kocha tę kobietę. A nieznajoma wpatrywała się również w jego oczy i uśmiechała się...

Rafaela patrzyła za nimi aż zniknęli pomiędzy długim rzędem łóżek, a potem leżała z szeroko otwartemi oczami, jak nieprzytomna. Nannina, jej sąsiadka, roześmiała się.

— Czemu patrzysz tak dziwnie?

— Ach, to nic...

Roześmiała się także i przeciągnęła się na łóżku. Serce biło jej tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Weszła pielęgniarka i poleciła Nanninie przygotować się, gdyż zawezwał ją profesor celem demonstracji podczas swego wykładu.

— Cóż oni zamierzają tam robić ze mną? — zapytała Nannina.

— Zjeść cię! Cóżby innego? — odparła pielęgniarka. — Dziś kolej na ciebie, jutro będzie na inną, na każdą przyjdzie kolej w swoim czasie. Jutro opuszczasz przecie klinikę.

Rafaelę przeszedł dreszcz na myśl, że na nią mogłaby także przyjść kolej. Boże święty, miała się pokazać Ryszardowi w takim okropnym stanie? Gdyby jego koledzy coś wiedzieli, niewątpliwie powiedzieliby mu: „Poco wdawałeś się z takim kościotrupem?"

Czy byłaby to zemsta? Ale Rafaela nie chciała się mścić.

A jednak gdy Nannina wróciła później z „mapą" na swem ciele i opowiedziała, jak odbył się na sali pokaz, Rafaela rozmyśliła się nagle. Chciała także tam się dostać. I teraz oczekiwała medyków, drżąc z niecierpliwości.

* * *

Wreszcie koło dziesiątej przyszli. Ryszard szedł obok owej słuchaczki jak kiedyś. — Wpatrzeni w siebie uśmiechali się.

— Czy mam się rozebrać? — zapytała Rafaela z gorączkowym pośpiechem, gdy grupa medyków zjawiła się na końcu sali.

— Boże, cóż za pośpiech! Leż spokojnie! — rozkazała naczelna siostra. — Musimy czekać aż pan profesor cię zawezwie.

Ale tak, jakby naczelna siostra ją jeszcze przynagliła, Rafaela rozebrała się spiesznie pod kołdrą. Gdy przyszli po nią, była całkiem gotowa.

Weszła na salę trupioblada, drżąca, z roz-

puszczonemi włosami, błyszczącemi oczami i nie schodzącym z jej twarzy uśmiechem. Ryszard Barni stał obok swej koleżanki i mówił coś do niej. Nie zauważył Rafaeli. Ale onieśmielona obecnością tylu młodych mężczyzn, Rafaela usiłowała przyciągnąć jego wzrok i nie słyszała, iż profesor wołał:

— Tutaj, tutaj, mała!

Wówczas Barni odwrócił się i spojrzał w rozpaloną twarz, ciągle zwracającą się w jego stronę. Zbladł i nachmurzył się.

— No, czy zdecydujesz się wreszcie? — zawołał profesor. — Proszę tutaj!

Rafaela usłyszała śmiech medyków i drgnęła. Zobaczyła, że Ryszard cofnął się pod okno w kącie sali. Rozejrzała się bezradnie wokoło, uśmiechnęła się nerwowo i zapytała:

— Co mam zrobić?

— Tutaj, proszę się tutaj położyć — powiedział profesor, wskazując wysoki stół, wyścielony czemś, co przypominało materac.

— Dobrze, panie profesorze — rzekła pospiesznie Rafaela. Napróżno jednak usiłowała wejść na stół. Uśmiechnęła się z zakłopotaniem:

— Nie mogę...

Jeden z medyków podniósł ją. Gdy siedziała już na górze, spojrzała na profesora, wysokiego, pięknego mężczyznę o gładko ogolonej twarzy, poczem wskazała palcem jasnowłosą studentkę:

— Możeby pan profesor pozwolił, żeby ta mnie rysowała...

Medycy roześmiali się. Nawet profesor nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Dlaczego? Wstydzisz się?

— Nie, panie profesorze. Ale wolałabym...

I patrzyła w stronę okna, gdzie Ryszard ukrył się w kącie sali.

Jasnowłosa medyczka instynktownie podążyła oczyma za tym wzrokiem. Zauważyła już dziwne zmieszanie Barni'ego. A teraz, widząc, jak on się ukrywa w kącie, zaniepokoiła się również.

Profesor przywołał ją:

— Proszę, panno Orlitz... Spełnimy życzenie pacjentki!

Rafaela wyciągnęła się na stole i spojrzała medyczce prosto w oczy. Ach, jaka ona była piękna, biała, delikatna ze swemi łagodnemi, niebieskiemi oczami! Ująwszy kredkę, którą jej profesor podał, zaczęła odsłaniać niezupełnie pewnemi rękami piersi Rafaeli.

Rafaela zamknęła oczy, wstydząc się swych obwisłych piersi, które musiała pokazywać tłoczącym się wokoło stołu medykom. Poczuła jakąś zimną rękę na swem sercu.

Za szybko bije! — powiedziała nagle cudzoziemskim akcentem medyczka i cofnęła rękę.

— Jak dawno jesteś na klinice? — zapytał profesor.

Nerwowo, nie podnosząc drżących powiek, Rafaela odpowiedziała:

— Od trzydziestu dwóch dni. Jestem już niemal całkiem zdrowa.

— Proszę ją zbadać — rzekł profesor i podał medyczce stetoskop.

Rafaela poczuła chłód instrumentu, dotykającego jej ciała. A potem dał się słyszeć głos medyczki: „Przyspieszona działalność serca... ciężki oddech...".

— Opukać!

Rafaela odwróciła głowę, zagryzła zęby i usiłowała otworzyć oczy. Ale zamknęła je zaraz zpowrotem, rozpaczliwie starając się opanować. Od czasu do czasu, gdy ciche pukanie na jej ciele ustawało, a medyczka przesuwała po jej skórze mokrą kredką, z trudem wypuszczała wstrzymywany oddech przez nos.

Jak długo trwać jeszcze będzie ta męczarnia? A on stał jeszcze ciągle pod oknem... Dlaczego profesor nie wołał go, ażeby pokazać mu serce, które rysowała jego jasnowłosa koleżanka... to serce pod piersią, która z jego winy tak wychudła.?

Wreszcie pukanie ustało. Medyczka rysowała pilnie linje łączące, chcąc wykończyć swe dzieło. Rafaela miała ochotę spojrzeć na swe ciało, zobaczyć rysunek swego serca, ale nie była w stanie dłużej się opanować. Rozpłakała się.

Profesor odesłał ją zirytowany na salę chorych i kazał powiedzieć naczelnej siostrze, ażeby nie dostarczała mu na wykłady takich histerycznych, wrażliwych i wynędzniałych pacjentek.

Rafaela słuchała ze skruchą wyrzutów naczelnej siostry i drżąc, oczekiwała w łóżku na przejście słuchaczy.

Czy on przynajmniej teraz poszuka jej wzrokiem? Chociaż nie... nie zależało jej już na tem wcale. Nie byłaby nawet odwróciła głowy, żeby się mu pokazać. Nie chciała, ażeby ją widział. Wystarczy, że wie, co z niej uczynił.

I drżącemi rękoma nasunęła na twarz kołdrę i leżała cicho jak nieżywa.

* * *

Przez trzy dni Rafaela Osimo pilnowała, ażeby rysunek na jej piersi nie zatarł się, ani nie zmył.

A potem, gdy wypuszczano ją z kliniki, stanęła w swym nędznym pokoiku przed rozbitem lustrem i wbiła długi, ostry nóż głęboko w znak, który rywalka narysowała na jej sercu.

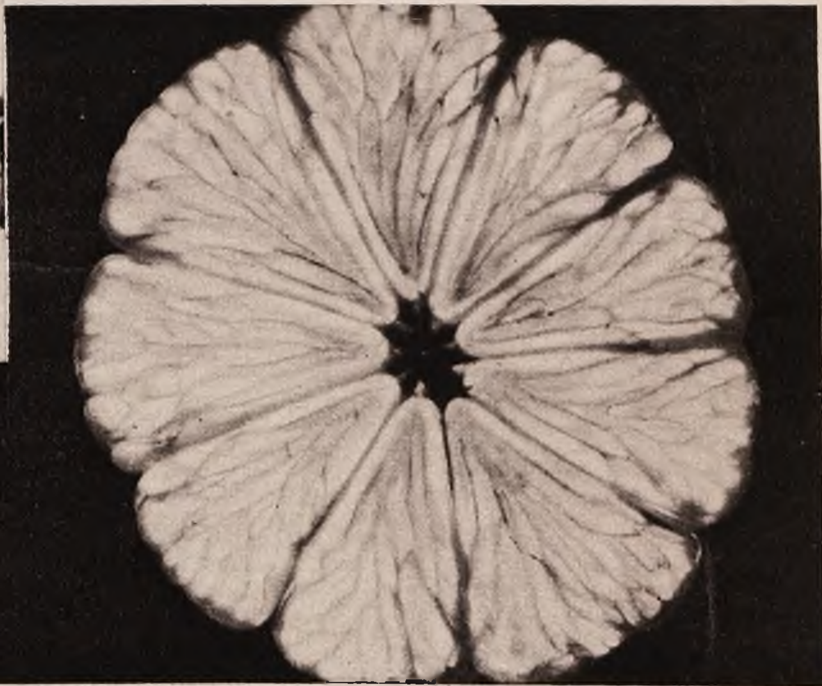
# Co to jest?



Jesteśmy tak zmęczeni widokiem tych samych ciągle rzeczy, ulic, przedmiotów, ludzi, tak dokładnie znamy ścieżki, któremi los kazał nam chodzić po świecie, że każda nowość, każdy nowy punkt widzenia w dosłownem tego słowa znaczeniu budzi w nas radość a nieraz zachwyt. Spojrzeć inaczej na to wszystko, co znamy na pamięć! Wydobyć z codziennie widzianych rzeczy nowe walory! Urozmaicić sobie drogę do biura, do kawiarni, a potem znowu z powrotem do domu!

Wszystko to są pobożne życzenia, natomiast w pewnym stopniu umożliwia nam to oryginalne spojrzenie na życie aparat fotograficzny. Niczem jakiś czarodziejski przyrząd utrwala on dokładnie, z precyzją różne przedmioty, ale tak, że nie pozwala odrazu odgadnąć, czem one naprawdę są. Czyż to nie prawdziwa satysfakcja przypuszczać, że patrzymy na kłębowisko żmij lub łańcuchów, gdy tymczasem jest to nasz dobry znajomy... makaron?

Ale od teorji przejdźmy do praktyki: obejrzyjmy sobie fotosy i namyślmy się chwilę, co one przedstawiają, a wnet się przekonamy... że się mylimy zasadniczo! J.



A to znowu nie jest bynajmniej rozeta gotyckiego witrażu, tylko bardzo powiększony plasterek cytryny.





Powyżej: Zdjęcie to nie przedstawia bynajmniej przekroju skały, ale poprostu grubo powiększoną płaszczyznę przekroju główki kapusty.

Powyżej na lewo. I to zdjęcie zafrapuje każdego: przypomina ona kształty zwojów węża, bądź też kości, ale nie jest ani jednem, ani drugiem, tylko korkociągiem.

Zdjęcia: Wide World.

Na lewo: Ani świetlne reklamy, ani też zdjęcie röntgeniczne, tylko dwie monety sfotografowane, oczywiście w wielkiem powiększeniu, od strony ich brzegu, na którym widzimy karby.



Niesamowite wręcz sploty przypominające może łańcuchy, a może też jakieś rośliny morskie, okazują się przy bliższem obejrzeniu niczem innem tylko makaronem.

# HINDUS ★ W ★ WENECJI



W Paryżu, który odwiedził m. in. podczas swej podróży po Europie, egzotyczny Hindus nie budzi bynajmniej większego zainteresowania u publiczności...

Jest taki wiersz Mickiewicza, zatytułowany „Morlach w Wenecji", a zaczynający się od słów:

*„Gdym ostatniego cekina postradał*
*„I gdy mnie chytra zdradziła niewiasta,*
*„Chodziłem smutny — a Włoch mi powiadał:*
*„Dymitry, pójdźmy do morskiego miasta...".*

Mężczyźni jednakże jeździli do Wenecji nietylko wówczas gdy ich zdradzały chytre niewiasty, lecz również i wtedy, gdy chytre niewiasty potrafiły doprowadzić ich do ołtarza. To znaczy w podróż poślubną! Opowiadano mi jednak o pewnym kupcu, który był jeszcze chytrzejszy i pojechał sam w podróż poślubną, a żonę zostawił w Krakowie, aby pilnowała sklepu. Potem dał się sfotografować na placu św. Marka, karmiąc gołębie i posłał jej tę fotografję na pamiątkę.

Owe epidemiczne podróże poślubne, połączone z karmieniem gołębi, zbanalizowały trochę to miasto z nieprawdziwego zdarzenia, ale nie potrafiły zniweczyć jego czaru. Jadąc do Wenecji po raz trzeci, wiedziałam, że czeka mnie znowu olśnienie.

W Wiedniu padał deszcz, w Styrji i Karyntji skłębione, ciemne chmury goniły pociąg. Dopiero za Tarvisio niebo wypogodziło się zupełnie. W dole przeciągała się Piave w swem niewygodnem, kamienistem łożysku. Pomiędzy jednym tunelem a drugim wyłaniał się szmat wspaniałego krajobrazu, syciła oczy zieleń tak świeża, jak u nas wczesną wiosną.

W wagonie przeważali Niemcy, dla których oś tego pociągu była symboliczną osią Berlin—Rzym. Nie wszyscy zresztą jechali do Włoch. Niektórzy wysiadali po drodze, aby poznać „das neue Vaterland", jak mówili, kraje po-anschlussowe z dumnemi górami Tyrolu i sennemi jeziorami Karyntji.

Najbardziej jednak interesującą osobą w całym wagonie, był młodziutki Hindus, siedzący naprzeciwko mnie. Jechał do Genui, gdzie miał wsiąść na okręt, odchodzący do Indyj. Mały, drobny, czarny o aksamitnych oczach gazeli... Pomimo upału miał czarne ubranie i czarny kapelusz, wciśnięty na czoło. Oczywiście, jeśli się pochodzi z kraju, gdzie cała biedota chodzi w białych prześcieradłach, czarne ubranie wydaje się szczytem elegancji!

Pożerał oczyma migający za oknem krajobraz i mówił „wonderfull", a Niemcy krzyczeli „fabelhaft". Hindus nie umiał po niemiecku, więc musiałam służyć za tłumacza, bo Niemcy chcieli wiedzieć, jak mu się podoba ich nowa ojczyzna. Hindus uśmiechał się grzecznie i powtarzał wciąż „wonderfull", a ja tłumaczyłem Niemcom, że „fabelhaft"! Później chcieli wiedzieć, skąd pochodzi? Z Darjeeling, całkiem na północy. A, czy widział już tak piękne góry, jak Alpy? Hindus odparł, że patrzy wciąż na Himalaje.

Na tem właściwie wyczerpał się temat rozmowy, ale zainteresowanie trwało. Ach, te oczy, te oczy — zachwycała się korpulentna Niemka z Berlina. — Czy widziała pani kiedy takie oczy? Poprostu królewicz z bajki.

— W kieszonkowem wydaniu — powiedział drwiąco Niemiec z Wrocławia, zbudowany atletycznie, jak prawdziwy potomek Nibelungów. Przy jego olbrzymiej postaci Hindus wydawał się jeszcze drobniejszy, niemal że dziecinny.

— Dlaczego siedzi wciąż w kapeluszu? — interesowała się w dalszym ciągu Niemka. Wyjaśniłam, że religja nie pozwala Hindusom obnażać głowy. A dlaczego nic nie je? Zastanawialiśmy się przez chwilę, czy religja zabrania Hindusom jeść w pociągu. Ale wkrótce okazało się, że ten post był przymusowy. Hindus miał mało pieniędzy (bardzo rozpowszechniona religja) i obawiał się że nie starczy mu na całą drogę powrotną. Do Indyj jest bardzo daleko! Wobec tego Niemka wyciągnęła plecak pełen rozmaitych zapasów, a Hindus zaczął wcinać „butterbroty" z serem i kiełbasą, jak każdy normalny śmiertelnik, mający dwadzieścia lat. Gdy go pytano, czy smakuje, odpowiadał już „fabelhaft". Widocznie miał słuch tak chłonny, jak apetyt.

Kiedy wysiedliśmy we dwójkę w Wenecji, nie było jednego wolnego pokoju. Biennale i wystawa kinematograficzna na Lido, przyjazd rozmaitych gwiazd i gwiazdeczek sprawiły, że kto nie zamówił zgóry pokoju, mógł równie dobrze spać pod gołem niebem. Hindus przyjął to do wiadomości, jak gdyby nie o niego chodziło. Ja zaś robiłam pokolei wywiady z wszystkimi portjerami hotelowymi, jacy byli na dworcu, lecz wynik był stale negatywny. Na moje prośby zaczęli jednak telefonować na wszystkie strony i wreszcie triumfalnie ofiarowali nam jeden pokój o dwóch łóżkach.

Trwało bardzo długo, zanim im wytłumaczyłam, że wspólna podróż z Hindusem na przestrzeni Wiedeń—Wenecja nie jest jeszcze dostatecznym powodem do zajmowania wspólnego pokoju... „No, to wracajcie do Mestre!" Usiadłam z tragiczną miną na walizkach. Dwudziestoszejściogodzinna podróż z Krakowa i taki rezultat! Hindus zachował w dalszym ciągu pogodę ducha, bo jako Hindus musiał być fatalistą. Nastąpiło jeszcze kilka narad i rozmów telefonicznych, wreszcie „Ecco signora": są dwa pokoje w malutkim pensjonacie nad jednym z bocznych kanałów.

Domyśliłam się odrazu, że ten kanał będzie jedyną wodą bieżącą w owym pensjonacie, ale nie mieliśmy przecież wyboru. Była noc. Wsiadłam z Hindusem do gondoli i popłynęliśmy czarną, tajemniczą wodą Canale

*Dokończenie na str. 14-ej.*



„Ponte dei Angeli" w Wenecji zdobi uroczy zaułek miasta.



„Torre del Orologgio" w Wenecji.
Fot. Diacomelli.



PORANEK NA STACJI
*Presse-Photo*



*Dokończenie ze str. 12-ej.*

Grande. Z obu stron wyrastały zaklęte pałace. Hindus szeptał „wonderfull", a czasem się mylił i mówił „fabelhaft". Jazda gondolą przypomina mi zawsze pogrzeb pierwszej klasy. Czarne drzewo łodzi, posrebrzane aniołki po bokach, milcząca toń wody i stary gondoljer, podobny do Charona — cóż za makabryczny nastrój! Hindus wyraźnie sposępniał, a ja na dobitkę opowiadałam mu, że właściciele tych pięknych pałaców mieli nader brzydki zwyczaj wyrzucać wszystkich niesympatycznych sobie gości prosto do Canale Grande.

Było już około pierwszej po północy, gdy dobiliśmy do naszego pensjonatu. Przyjęła nas sama „padrona", ruda, imponująca kobieta, wyglądająca jak model Veronesa, odpowiednio postarzały (Paolo Cagliari zwany Veronese, ur. 1528 — umarł 1588). Model Veronesa oświadczył, że ma piękny pokój o dwóch łóżkach i to tylko na jedną noc. Kiedy jej wyjaśniłam nasze skrupuły pod tym względem, powiedziała bez najmniejszego wahania: „W takim razie Signor do stanie ten pokój, a pani prześpi się na kanapce w salonie".

Spojrzałam na Hindusa: nawet nie mrugnął powieką! Przypomniałam sobie, co mi opowiadał Ferdynand Goetel ze swej podróży po Indjach. Oto w najbardziej postępowych domach hinduskich pani domu siedzi na progu jadalni, podczas gdy mąż z gośćmi ucztuje przy stole biesiadnym. Mój Hindus uważał za całkiem naturalne, że on ma spać na dwóch łóżkach, a ja na niewygodnej kanapce.

Salon był na parterze i woda kanału chlupała pod oknami. Wczesnym rankiem zaczęło przez te okna zaglądać słońce, tudzież każdy „lazzarone", który tamtędy przechodził. Taki już był widocznie zwyczaj. Wstałam napół zjedzona przez moskity i umywszy się w miednicy, wielkości talerzyka na kompot, odszukałam padronę, by jej powiedzieć, że dom jej jest niemal tak piękny, jak Pałac Dożów, ale musi mi dać inny pokój bo w salonie spać nie mogę. Model Veronesa rozłożył ręce: niema mowy o innym pokoju, a co do salonu, to jest już na następną noc przyrzeczony dwom kupcom z Neapolu, którzy czekają w ogródku.

Spakowałam tedy manatki i zapytałam o Hindusa. „Kąpie się" — odpowiedziała padrona. Kąpie się? A w czem? „W łazience" — wyjaśnił mi model Veronesa. Na pierwszem piętrze jest łazienka „dla lepszych gości". Jakto, i pani mi nic o tem nie powiedziała? „W Wenecji kąpią się wszyscy w morzu — rzekła z autorytetem padrona — i tylko Anglicy żądają jeszcze wanny. A, że ten pan mówi po angielsku...".

Moralnie zgrzytnęłam zębami. Trudno: Anglja będzie zawsze panować nad wodami. Powiedziałam padronie, że Hindus może mnie odszukać na placu św. Marka, a jeśli mnie nie znajdzie — to życzę mu szczęśliwej podróży do Dardjeeling.

W godzinę później siedziałam już w kawiarni Florjana i zapomniałam zarówno o moskitach, jak o trudach podróży. Przedemną roztaczała się feerja, złożona ze skrzydlatych lwów, bizantyńskich mozaik, marmurowych koronek i deszczu gołębi. Wyzłocona bajka z Tysiąca i jednej nocy, przeniesiona na ziemię wenecką, której na imię Piazza San Marco. Można godzinami przesiadywać na tym najcudniejszym placu i nie jest się ani trochę przesyconym, tylko oczy mrużą się od ciągłego blasku, od złota i błękitu, od nadmiaru piękności.

Naraz jakiś cień przegrorził mnie od czarownego widoku. Był to Hindus. Bez śladu zmęczenia na twarzy, wyświeżony, w odprasowanym (czarnym) garniturze i turbanie. Zgodnie ze swojem angielskiem wychowaniem powiedział, że dzień jest piękny, a Wenecja „wonderfull" i zjadł dwie porcje lodów. Potem oświadczył, iż za dwie godziny odjeżdża do Genui i, że na pożegnanie ma do mnie wielką prośbę. Czego on może chcieć? — myślałam w duchu. Czego może chcieć ode mnie Hindus z Darjeeling, którego niańczyłam przez dwadzieściacztery godziny? Mojej podobizny, adresu? autografu? pukla włosów na pamiątkę?

— Chciałbym — prawił Hindus swą oxfordowską angielszczyzną — aby mnie pani sfotografowała, tu na placu, z gołąbkami.

Zdaje się, że zacisnęłam pięści. W milczeniu kupiłam torebkę ziarna dla ptaków i wręczyłam Hindusowi. Gołębie, obserwujące poczynania turystów, przyfrunęły natychmiast. Jedne siadły mu na ramionach, inne na turbanie. Hindus szepnął „wonderfull" i wypiął oczy na aparat. Wyglądał teraz zupełnie, jak mały kupczyk z prowincji, który wybrał się w podróż poślubną do Wenecji. Taki... taki królewicz z bajki... psiakrew!

**Jola Fuchsówna.**



Z WIZYTĄ U ARTYSTÓW I LITERATÓW:

# U PIEWCY CZASÓW KRÓLA STASIA

Od kilkunastu już lat zamieszkuje w Poznaniu Stanisław Wasylewski. Wprawdzie pierwsze jego dzieła powstawały we Lwowie, ale rozkwit jego działalności, jego najpoważniejsze prace „urodziły się" w Poznaniu. Koroną tych dzieł jest wydana w 1938 r. książka o Polakach na Śląsku Opolskim

Między pierwszem dziełem Wasylewskiego „U Księżnej Pani" a ostatniem „Na Śląsku Opolskim" istnieje duża przepaść... ideologiczna. Od rozegzaltowanej, według dzisiejszych pojęć, miłości romantycznej naszych brababek, do pełnych uroku opowiadań o twardem życiu Polaków na piastowskim Śląsku Opolskim, jest droga, znaczona licznemi pierwszorzędnemi pracami literackiemi. Miały one przynieść Wasylewskiemu m. in. także i nagrodę literacką im. Jana Kasprowicza, przyznaną przez m. Poznań.

Wasylewski, a właściwie dr. Stanisław Wasylewski, rozwija na terenie Wielkopolski żywotną działalność kulturalną. Dziś zagaja jako prezes Związku Literatów Polskich tradycyjny „czwartek" w Pałacu Działyńskich, jutro jest z odczytem w tem czy innem mieście Wielkopolski, czy Pomorza.

Między jednym a drugim wyjazdem odwiedzamy Wasylewskiego w jego „home" przy ul. Grochowskiej, chcąc dowiedzieć się o jego pracach, zamierzeniach na przyszłość no i dyskretnie podpatrzeć, jak żyje literat! Trochę to daleko od śródmieścia, ale, jak mówi urocza Pani Domu „dobrze upatrzonym tramwajem do śródmieścia tylko 10 minut". Przeważnie tramwaju się nie „upatrzy", przeto trwa to nieco dłużej, ale warto się potrudzić, bo atmosfera, panująca w domu Państwa Wasylewskich, trud ten stokrotnie wynagrodzi.

Nazwaliśmy mieszkanie Państwa Wasylewskich „home". Uczyniliśmy to umyślnie.



Stanisław Wasylewski w swej bibljotece.

bo chyba żadne inne mieszkanie nietylko literata, tak bardzo nie przypomina tego, co rozumiemy pod angielskiem poszanowaniem tradycji narodowej. Wszystko w tem mieszkaniu, każdy szczegół, każde antyczne cacko, których jest bez liku, rozmieszczone artystycznie po całem mieszkaniu, tchnie echem historji polskiej. Już w hallu witają nas gęsto rozwieszone po ścianach podobizny kobiet z epoki Króla Stasia. Wśród nich niepodzielnie panuje sam Król Jegomość Stanisław August. O każdej z tych pań wie Wasylewski wiele szczegółów z ich życia. Wiele z dam, obecnie rozmieszczonych na ścianach, opisane zostały przez Wasylewskiego w „Romansie Prababki" czy „U księżnej Pani" albo też „Na dworze Króla Stasia": Znajdziemy w hallu również telefon, korego normalne miejsce jest w gabinecie pracy Wasylewskiego. Czasami jednak trzeba damom tym dać okazję podsłuchania rozmów, prowadzonych przez tego, który po wiekach podsłuchał rytm ich serca. Wątpimy, czy ciekawość wielkich pań zostaje zaspokojona: Wprawdzie telefon często odrywał od nas Wasylewskiego, ale zawsze były rozmowy prowadzone w charakterze prezesa Związku Literatów, albo z Rozgłośnią poznańską Radja Polskiego. Nigdy nie było słowa o miłości...

Ostatniem zainteresowaniem Wasylewskiego stało się radjo: jest on obecnie całkowicie pochłonięty pracą dla rozgłośni, która daje literatom duże pole do popisu.

Rozmowę z Wasylewskim prowadzimy w t. zw. „gospodzie pod 3 królami". Jest to piękny, obszerny o wygodnych meblach... pokój służący czasami jako nocleg dla gości Wasylewskiego. Nazwę wziął od pięknego obrazu szkoły włoskiej, przedstawiający adorację magów, wiszącym nad obszernym tapczanem. Kto nadał to miano pokojowi, nie wiemy. Może Staff? Bo i on tutaj już gościł, a może kto inny z plejady wielkich mistrzów słowa, którzy często bawią w gościnie u Wasylewskiego.

Rozmawialiśmy o wszystkiem, tylko nie o samym gospodarzu. Nie lubi mówić o sobie. A jednak w czasie naszej zbyt długiej — poświadczy to sam Wasylewski — wizyty dowiedzieliśmy się kilku ciekawych szczegółów z jego działalności literackiej.

Mówiliśmy o rozmaitych sposobach pracy literackiej. Nawiązaliśmy do trudności wyszukiwania w archiwach, czy w książkach zapisków, dotyczących tej czy innej osoby historycznej. Wasylewski odznacza się dziwną zdolnością wyszukiwań potrzebnych mu danych i intuicyjnym darem wyławiania w swym księgozbiorze odpowiedniej książki.

Jest zresztą w czem szperać: trzy pokoje jego mieszkania zapełnione są aż po sufity książkami, ustawionemi na półkach wzdłuż wszystkich ścian.

— To dobre w zimie, bo ogrzewa pokój i chroni od zimna — mówi, śmiejąc się Wasylewski, widząc nasz wzrok, spoczywający z zainteresowaniem na bogatym księgozbiorze. W gabinecie jest też maszyna do pisania. Służy ona do wystukiwania listów handlowych. Swe prace literackie pisze, dawnym zwyczajem ręką, najczęściej ołówkiem.

W czasie naszej pogawędki, w której wzięła żywy udział Pani Stanisława, małżonka autora, przyniósł Wasylewski malenki sztambuch, do którego trzeba się wpisać. Każdy, kto zajdzie na ul. Grochowską, musi zostawić autograf, przed wpisaniem jednak należy zapoznać się z objaśnieniami, które wypraszają komplementowania gospodarzy domu, proszą o rzeczowe i szczegółowe opisy okoliczności przybycia i „upraszają nie poprzestawać na samym choćby najszacowniejszym podpisie", lecz o „rymy, nuty albo malunki". Do wszystkiego stosują się wpisujący, tylko nie do pierwszego przykazania. Sztambuch jest pełen komplementów, których autorami są woj. Maruszewski, Leopold Staff, Ludwik Puget, Al. Janta-Połczyński, Wincenty Lutosławski, Edmund Osmańczyk, poeta polski w Niemczech i inni. — Ostatnio wpisała się Redakcja „Asa". Są to przeważnie proste, niewyszukane słowa, płynące z serca, stąd niewątpliwie szczere.

Sztambuchy te, bo jest ich już sporo, przechowuje Wasylewski w osobnej szafce z pamiętnikami po wielu głośnych a pięknych paniach polskich. W tej samej szafce obok sztambuchów z patyną wieków przechowywana jest i ultranowoczesna myszka Mickey.

Znów telefon odrywa od rozmowy gospodarza. Korzystając z jego nieobecności, dowiadujemy się od uroczej Pani Stanisławy o powodach nieprzyznawania się przez męża do swego tytułu naukowego. Uzyskanie tytułu doktorskiego jest dowodem przywiązania syna do rodziców. Ojciec koniecznie pragnął, by syn został naukowcem. Nie doczekał się, bo syn zanim skończył niewydane, aczkolwiek już od lat gotowe naukowe dzieło o strojach, stał się literatem. Później matka pałała skrytą nadzieją, że syn jej może jednak spełni nadzieje i życzenie ojca. A on tymczasem nietylko począł rozkochiwać się w przeżyciach miłosnych pań z przed dwóch wieków, ale je też opisywać. Stał się sławnym i bez tytułu naukowego! Żona, chcąc spełnić życzenie rodziców, poczęła nalegać na dokończenie mężowskiej karjery naukowej i uzyskanie chociażby tytułu doktora, jeżli już na profesora się „nie nadaje". Po uciesznych swarach na ten temat, zdał Wasylewski doktorat w uniwersytecie Poznańskim. Ucieszyła się z tego jego matka, ale przemiły gospodarz jak nie używał tytułu, tak nie używa go i dzisiaj.

Jest i pozostanie Stanisławem Wasylewskim, świetnym miłośnikiem i znawcą romantycznych przeżyć pań, których mężowie zasłynęli w polityce albo w dziejach oręża polskiego, a których przeżycia i udręki miłosne tak pięknie opowiedział i oby nadal opowiadał nam w swych dziełach

H. Sm.



Państwo Wasylewscy w saloniku swego pięknego mieszkania, które przepełnione jest pamiątkami i antykami wszelkiego rodzaju.



Na lewo: Oto fragment jednej ze ścian zawieszonej starymi sztychami i cennymi minjaturami.



Wielki znawca czasów Stanisława Augusta posiada jedyną w swoim rodzaju kolekcję sztambuchów. Zdjęcia: fot. „As".







Od lewej: Jeszcze mamy kwadrans czasu przed odejściem pociągu: wykorzystajmy te chwile na drobną korespondencję. — Cieszmy się byle głupstwem: nawet kwiatek może przyczynić nam radości życia. — Nie irytujmy się nie mogąc zdobyć właściwego połączenia: złość bardziej nam zaszkodzi, jak minuta straconego czasu.







Od lewej: Nie czekając na pomoc zzewnątrz umiejmy sami sobie dać radę nawet w drobnych okazjach. — Niech nas nie peszy brak komfortowej łazienki w hotelu: z uśmiechem na twarzy znośmy drobne niewygody. — Nie zazdrośćmy znajomym, że jadą autem, podczas gdy my zmuszeni jesteśmy chodzić pieszo.



Nie czujmy się poniżeni, spotykając elegancką przyjaciółkę, podczas gdy my same niesiemy z targu torbę pełną prowiantów.

Poniżej: Starajmy się być w towarzystwie mili i rozmowni i wykorzystać chwilę przeznaczoną na wypoczynek.



Podział czasu w naszem życiu jest rzeczą niezmiernie ważną. Iluż to z pośród nas po dojściu do pięćdziesiątki dowiaduje się z równem zdziwieniem, jak o tem, że dotychczas mówili prozą — o przedziwnej nowinie — że przez całe swe życie marnowali czas.

Właściwe użycie czasu stanowi konieczny warunek uzyskania w życiu szczęścia i zadowolenia: przyjrzyjmy się naszym zdjęciom, a zobaczymy, jak różnie ludzie reagują na drobiazgi bieżącego życia. Oto jeden „wścieka się" przy telefonie, nie mogąc uzyskać właściwego połączenia i traci czas, inny natomiast mężczyzna wykorzystuje wolną chwilę, no i oczywiście zdolności mechaniczne — by naprawić dzwonek, pewna młoda dama decyduje się prędko na podróż i dobranie sukni nie stanowi dla niej trudności, inna znów niosąc z rynku torbę wiktuałów nie „speszy się", spotykając przyjaciółkę elegancko ubraną, idącą na spacer. Z równym stoicyzmem, a raczej mądrością odnosi się do życia mężczyzna, który w hotelu nie zastając bieżącej wody, musi się myć w miednicy: robi poprostu dobrą minę do złej gry, jak to mówią, i wszystko jest w najlepszym porządku. Oczywiście, że w sztuce życiowej największą bodaj rolę gra mądre zużycie czasu.

Zadajemy więc sobie pytanie — co właściwie robimy z wolnym czasem?

Ja osobiście — nie mam wogóle wolnego czasu. Często jestem tak bardzo zapracowany, że wogóle nie mam czasu na robotę.

Patrzę często na moich bliźnich. Umieją w jakiś niezwykle skrzętny sposób wyzyskać umiejętnie każdą okruszynę czasu, jaka pozostaje im między poszczególnemi czynnościami dnia. Ci ludzie mogą dojść do wspaniałych rezultatów. Umieją dobrze wyzyskać czas. Zamiast serca mają zegarek, który wybija im rytm życia. W ich mózgu równiuteńko przesuwają się wskazówki zegarowe, znacząc dobitnie podział dnia. Gdy przyjdą na dworzec kolejowy o pięć minut za wcześnie, zużyją ten czas na odrobienie zaległej korespondencji. Gdy w rozmowie z ukochaną wyczerpie się temat romantyczny — natychmiast informują się dyskretnie o majątek ewentualnego teścia. Są zawsze przytomni i zawsze umieją znaleźć na tyle czasu, aby odrobiwszy wszystkie zaległości, przyjść do mety w wyścigu życiowym o głową wcześniej — od tych, którzy mają nawet lepszą od nich głowę.

Są też ludzie, którzy w chwilach wolnych od zajęć myślą o niebieskich migdałach. Tacy ludzie potrafią przebaraszkować myślowo cały dzień, nad niczem się głębiej nie skupiwszy.

Inni znowu są zwolennikami „carpe diem". Czyli taki życiowy „catch as catch can". Chwytaj z życia, ile tylko możesz! Masz wolną chwilę — i chętnych do płacenia przyjaciół, pij! Znasz lekkomyślne kobiety — korzystaj w pełni z ich lekkomyślności, graj do rana w karty z ludźmi, którzy grają gorzej od ciebie! Nie przepuść

*Dokończenie na str. 18-tej.*



Prędka decyzja w wyborze sukni przed podróżą jest jednym z kanonów sztuki życia.

Zdjęcia: C. ANDER

# Czy umie Pan(i) ułożyć sobie życie?

*Dokończenie ze str. 17-ej.*
żadnej okazji obłowienia się zdobyczą, choćby najpośledniejszego gatunku! Takich ludzi boli każda zmarnowana „okazja". Chodzą po świecie, jak myśliwi, polujący na coraz to nową zdobycz.

Są ludzie, którzy większość swego wolnego czasu poświęcają na dbałość o wygląd zewnętrzny. Ci ludzie patrzą niejako na siebie okiem zewnętrznem. Nie widzą się od podszewki — lecz od strony lustra, w którem oglądają swój nowy płaszcz. Są zakochani w sobie, pielęgnują swą urodę.

Podobni są do eleganckich kobiet, które idą przez życie niby olśniewający pułk gwardyjski na paradzie. Podziwiają ich wszyscy. To jest celem ich życia. I dobrze im jest.

Smutni są ludzie, którzy nie wiedzą — jak zabić czas. Z wszystkich rodzajów morderstw — zabijanie czasu — powinno być najokrutniej karane. Człowiek, który coś robi „dla zabicia czasu" — zabija właściwie samo życie. Bo czemże jest życie, jeśli nie upływem pewnego okresu czasu? Człowiek taki jest oszustem, który obniża wartość wielkiej niespodzianki, jaką dla każdego z nas powinno być życie. Człowiek taki nie powinien był się urodzić. Nie jest ani namiętnym graczem, ani ciekawym obserwatorem, ani zdobywcą. Jest istotą niepotrzebną — usprawiedliwiającą wołania uczonych o eutanazję.

Do ludzi umiejących najlepiej wykorzystać każdą wolną chwilę należą politycy. Znamy pewnych wielkich mężów stanu, którzy wykorzystają każdą chwilę w życiu międzynarodowem, aby poczynić nowe zdobycze. Ci ludzie umieją żyć... Prowadzą ciekawą grę, która ich pasjonuje. Grają na wielkiej szachownicy życia — najciekawszą partję szachów, która trwa często życie całe.

Pozazdroszczenia są godni ludzie, którzy nigdy nie mają czasu. Ci nie mogą się nudzić. Ci, którzy wolnego czasu mają zbyt wiele, są raczej godni pożałowania.

Przecież wiadomo powszechnie, że najbardziej zajętymi są obecnie — bezrobotni. Cały dzień tracą czas na wyszukiwanie posad czy zasiłków. Dopiero, gdy znajdą odpowiednią posadkę przy jakiejś protekcji, wtedy mogą sobie nareszcie odpocząć — i wtedy najczęściej nie wiedzą, co zrobić z nadmiarem wolnego czasu.

**Grot.**

# SKARBY PANA TEOFILA

MARTA WALTER-CRONECK

*SZKIC*

W słabo oświetlonej antykwarni lśniła łysina pana Teofila. Choć nieraz była już godzina późna, pan Teofil nie mógł rozstać się ze swymi skarbami.

Niestrudzony dreptał w ciasnym i zagraconym składziku. Coś przekładał, układał, wycierał.

Ruszał się niezmiernie ostrożnie i powoli. Twarz jego drgała pod wpływem coraz to nowszych myśli.

— Tyle, tyle skarbów!...

— No cóż? Nie tak znowu wiele dla zwykłego człowieka.

— Trochę złota, miedzi, mosiądzu...

— Pewnie, znajdzie się niejeden brylant, turkus, a może i niejedna perła...

— Ile tu myśli twórczych! — A ile przeżyć?!...

— Co za bogactwa!...

— I tak sobie pomyśleć, że w tej małej mojej dziurze mieści się tyle wspomnień...

— Ho, ho! — wzdychał. — Gdyby te drobiazgi mogły mówić...

Zamyślał się często pan Teofil.

Przez całe swoje życie badał pochodzenie tych antyków, starał się dotrzeć do serca każdego z nich.

Z zamyślenia budził często pana Teofila ulubiony zegar, wydzwaniając jakąś późną godzinę.

Pan Teofil przypominał sobie, że ma jeszcze mnóstwo do roboty.

Rozglądając się wkoło, zarzucał sobie różową flanelę przez ramię.

— O tak! Ten puhar naprzykład nie może stać tak skromnie na bocznym stoliku. Kto wie jak świetne persony maczały w nim swe usta. Pito z niego zdrowie wielkich ludzi. Wówczas był ważny, zajmował pierwsze miejsce, więc i teraz stać musi na najprzedniejszem.

Pan Teofil brał puhar w obie ręce i z pietyzmem stawiał na największym stole.

Odchodził dwa kroki i przypatrywał się bacznie.

— Tak! — mruknął zadowolony. — Lepiej jest teraz.

Rozglądnął się.

— Źle! Ściana mokra. Pas słucki zapleśnieje.

Pan Teofil wyłaził na stołeczek, zdejmował pas i trzymając go przed sobą, z wyciągniętemi rękami dreptał, by przymierzyć, jak będzie wyglądał na bocznej ścianie.

— E nie! — Wracał z połowy drogi. — Lepiej nie wieszać. Wszędzie wilgoć.

Okręcał się parę razy w kółko.

— Hm... hm... — krząkał z namysłem.

— O już mam! — Uśmiechnął się uradowany. — Pas słucki koło kielicha! Bardzo dobrze, bardzo dobrze!

— Wyobraźmy sobie Teofilku, że jesteśmy na wspaniałej uczcie u możnego wojewody, lub jakiegoś kasztelana.

— Ho, ho! Dawne to czasy!...

— A tobie śliczna maluśka, źle tu teraz. Puhar cię zasłania — pogładził ręką figurkę z saskiej porcelany. — Czyż mógłbym cię w cieniu zostawić, gdy promieniejesz tak wielką urodą? No, mistrzu tańca, prowadź swoją damę. Nie wiesz gdzie? Pewnie! Wpatrzony w jej buzię, nie widzisz dla niej godnego miejsca.

Pan Teofil rozglądnął się.

Po chwili umieścił tańczącą parę na stoliku pod oknem.

— No widzisz, piękna moja. Radośniej ci będzie w blaskach słońca lub księżyca.

Potem pan Teofil ustawił w zacisznem miejscu szachy z kości słoniowej.

Wiadomo. Przy grze musi być spokój.

Obok położył tabakierę wysadzaną turkusami, a na półeczce wyżej, złoty świecznik.

Słabe światło kładło się miękko na jego skarbach.

— — — — — — — — —

Pewnego dnia ogłoszono licytację antykwarni.

Opowiadano potem, że pan Teofil z szeroko rozwartemi oczami śledził przebieg licytacji.

Ludzie kupowali za bezcen, licytując ot, tak, dla zabawy, nie doceniając najwidoczniej prawdziwej wartości przedmiotów.

Kupowali dla snobizmu lub licząc na snobizm innych.

Podobno pan Teofil uciekł, nie czekając końca licytacji.

Mówiono, że wyglądał strasznie. Oczy zapadłe wgłąb czaszki świeciły niesamowitym blaskiem. Policzki szare, usta zaciśnięte.

Oddawna ludzie mieli go za dziwaka, lecz wówczas wyglądał niesamowicie.

Nie wróżono z jego wyglądu nic dobrego.

Licytacja antykwarni nie była dla ludzi niespodzianką.

Pan Teofil nie miał żyłki kupieckiej.

Sklepik jego długi, wąski, źle oświetlony, nie robił reklamy właścicielowi. Zresztą pan Teofil nie starał się o nią. Drżał, by ktoś nie zechciał kupić jakiegoś drobiazgu.

Zamykał oczy na potrzeby swojego skromnego życia. Wolał nie jeść, niż oddać w obce ręce to, co tak wypieścił w swem sercu.

Zdarzało się nieraz, że ktoś wstąpił do sklepu.

Pan Teofil obrzucał go przenikliwem spojrzeniem, zadawał mnóstwo pytań, potem oceniał przedmiot tak wysoko, by nie mógł być kupiony.

Widocznie miał przed sobą klienta, który handluje dla zysku. W takim wypadku pan Teofil nie chciał powierzyć mu swego skarbu.

Kiedyindziej znów łańcuszki i klamry przechodziły w inne ręce za śmiesznie małą cenę.

I wtedy pan Teofil czuł się wyprowadzony z równowagi.

Opowiadanie o właściwościach przedmiotu przeplatał gorącemi prośbami, by przedmiot był dobrze przechowywany i należycie oceniony.

Tym razem widocznie kupował znawca i miłośnik sztuki.

— — — — — — — —

Po licytacji sąsiedzi stracili z oczu pana Teofila.

Lecz pan Teofil istniał.

Z czego żył — niewiadomo.

Chodził po podwórzach i wielkim pogrzebaczem wygrzebywał coś ze śmieci.

Mówiono o nim, że stracił zmysły, że zbiera jakieś żelaziwo, szmaty, czerepy i ciągle do siebie gada.

Można go było zobaczyć nieraz, jak klęczał i z wielką starannością przeszukiwał śmietnik.

Twarz jego była pełna skupienia.

Gdy znalazł parę ogniw zardzewiałego łańcucha, oczy błyszczały mu szczęściem.

Klaskał w dłonie radośnie.

Łańcuch wycierał o surdut, chuchał, przyglądał się uważnie i pstrykając palcami, zamyślał się głęboko.

Po chwili zrywał się z klęczek, śmiał się głośno i krzyczał:

— Już mam! Tak! To napewno Ludwik XIV!

Siadał znowu na ziemi, wyciągał z bocznej kieszeni surduta różową flanelę i jak za dawnych czasów w antykwarni wycierał swój skarb.

Najczęściej rzekomy skarb zjedzony przez rdzę, nie był do wyczyszczenia miękką szmatką flanelową.

Wtedy oczy pana Teofila zachodziły łzami, kąciki ust drgały, cała postać malała i stawała się podobna dziecku bezradnemu w swojem nieszczęściu.

Serce jego zalewała gorycz.

Dlaczego ludzie nie chcą uznać i uszanować rzeczy, których sami nie stworzyli?

Ruchy jego stawały się coraz szybsze, bardziej niecierpliwe. Chuchał długo, wygrzebywał brud i rdzę paznokciami.

W pomylonej, łysej głowie krystalizowały się powoli trzeźwe myśli.

Zapatrzył się gdzieś daleko i mamrotał zcicha:

— Porzucają i depczą piękno żyjące przez wieki. Za czem oni gonią? Za czemś nowem?

— Niech tworzą rzeczy nowe, ale niech szanują stare. — Szeptał. Przecież piękno, co żyje wiecznie, jest jedno od początku do końca świata. Oj ludzie! Ludzie!...

Pan Teofil rozmazał brudnym palcem łzę, co szukała sobie drogi między zmarszczkami na jego policzkach.

Zdarzało się, że w takich chwilach wielkiego natężenia myśli, pan Teofil zrywał się nagle, marszczył brwi, podnosił głowę w górę, nerwowym ruchem głaskał się po twarzy, to znów głowę opuszczał, palcami bębnił po łysinie, wreszcie oglądając się prędko na boki, zrywał się na równe nogi.

Musi ratować od zagłady skarby, których ludzie nie doceniają!

Szybkim ruchem wsuwał pogrzebacz pod pachę, „łańcuch Ludwika XIV" owijał flanelą, chował go do kieszeni na piersiach i drobnym kroczkiem pośpiesznie dreptał dalej.



# Z TEKI PSYCHOGRAFOLOGA

## AUTORYZOWANE TŁUMACZENIE JANA MALESZEWSKIEGO

Pewien bogaty przemysłowiec powziął godną pochwały myśl umieszczenia swoich dwóch synów w szkołach wiedeńskich, które zawsze cieszyły się najlepszą opinją. Lokuje ich więc w pewnym naukowym zakładzie, skąd, podczas wakacyj przyjeżdżają do domu. Przed kilku laty odwiedzili rodziców podczas świąt wielkanocnych i po serdecznem pożegnaniu powracają do Wiednia. Na pewnej stacji, gdzie zatrzymuje się pociąg, w którym jadą, opuszcza swój przedział starszy z dwóch synów, jadący z swym przyjacielem i ginie bez śladu. Poszukiwania detektywów wykazują, że widziano go w wagonie restauracyjnym pośpiesznego pociągu, idącego w kierunku Berlina. Natychmiast przekazano telegraficznie wszystkim konsulatom czeskim w Niemczech oraz stacjom granicznym opis zaginionego a pocztą fotografje, co jednak nie dało rezultatu. Przypuszczano, że popełnił samobójstwo, do czego jednak nie było zrozumiałego powodu, mówiono też o morderstwie. Dalsze poszukiwania w tym kierunku wykazały, że w tymże czasie zginął bez śladu również towarzysz chłopca.

Wtedy to ojciec zaginionego zwraca się do mnie za pośrednictwem swego domowego lekarza dr R. S. i przesyła mi list syna, pisany tuż przed wypadkiem. Z pisma młodego człowieka wywnioskowałem, co następuje: „Syn pański jest ponad wiek rozwinięty, pracowity i bezsprzecznie posiada charakter o dużych zaletach. Sam pan o tem napewno wie najlepiej. Czego pan jednak nie wie, jest to, że zbyt długa nieobecność w domu rodzinnym spowodowała rozluźnienie węzłów, które go z nim łączyły. Na podkładzie tej obcości powstał zamiar ucieczki. Radość życia była u pańskiego syna w ostatnich czasach nieznaczna, natomiast wzmocniła się tendencja do dociekań, która zapewne istniała i przedtem. Ktoby go wtedy spytał o powody jego melancholji, nie otrzymałby zapewne odpowiedzi. Rezultatem tego wszystkiego była decyzja ucieczki: nieco „ekranowa" romantyka mamiła go urokami życia na obczyźnie. Ale zasadniczo chłopak nie łaknął bynajmniej przygód: chciał jedynie wykazać, co umie, i wracając do domu, chciał zdobyć uznanie, którego mu nie dosyć użyczano. Jakkolwiek jego myśli były nieco chaotyczne, to jednak myśl o samobójstwie nie powstała w jego głowie".

Z pisma również zaginionego towarzysza i przyjaciela wyczytałem podobne cechy charakteru. Uważałem go za właściwego twórcę całego planu ucieczki. Również od niego jedynie mogły wychodzić możliwe myśli samobójcze, oświadczyłem jednak, że zgodnie z tem, co pismo zaginionego mówi, samobójstwo jest wykluczone. Nakoniec odpowiedziałem ojcu:

„Syn pański będzie wszelkiemi sposobami chciał przebić się przez życie, stając się, w razie konieczności, nawet pucybutem. Przypuszczam, że uda mu się wybić na powierzchnię, jeżeli zaś plan jego się załamie na zewnętrznych trudnościach, to należy przypuszczać, że może w najbliższym czasie otrzyma pan od niego list, w którym będzie pana prosił, aby wolno mu było wrócić. W tym wypadku uważam za właściwe traktować go, przynajmniej narazie, serdecznie i z dobrą wolą zrozumienia, nie dając mu odczuć, że sprawił swojem zachowaniem troskę rodzicom".

List ten, który napisałem do ojca był datowany z dnia 10 lipca, czyli w cztery miesiące po zniknięciu chłopca. Brak wszelkich wiadomości o jego losie musiał powiększać ból u rodziców. Moja analiza przyniosła zapewne pewne uspokojenie, ale dopiero list syna datowany z dnia 31 lipca a doręczony przez osobę trzecią przyniósł prawdziwe pocieszenie. List został nadany w Wiedniu i zawierał poza prośbą o wybaczenie ucieczki wiadomość, że chłopcu dobrze się powodzi i że otrzymał posadę. Miejsca zamieszkania list nie podawał, pewne jednak słowa wskazywały na możliwość odwiedzenia rodziców w najbliższej przyszłości.

Nauczycielom stawia się coraz większe wymagania, gdyż w związku z pogłębianiem pedagogiki rola ich, w dzisiejszem niezwykle ruchliwem życiu, staje się coraz większa, temwięcej, że często dzieci są nerwowo chore i przepracowane. Nie chodzi już o to, aby taki nauczyciel umiał utrzymać w karbach swoją klasę, chodzi też o to, aby umiał stworzyć podczas nauki odpowiednią atmosferę, aby umiał wczuć się w psychologję dziecka, zrozumieć jego zalety i wady, jego namiętności i odruchy i z tych obserwacyj wyciągnął praktyczne wnioski. Jest to zadanie olbrzymie, tak, że trzeba sięgnąć do wszystkich możliwych środków, ułatwiających zrozumienie materjału uczniowskiego. Nasuwa się tu prawie automatycznie myśl o grafologji, która dotychczas w tej dziedzinie była nieznana, niektórzy bowiem grafologowie twierdzili, że pismo dziecięce nie orjentuje nas co do charakteru piszącego.

Będzie zapewne najlepiej, jeżeli przytoczę pewien niezwykle jaskrawy wypadek z mego własnego doświadczenia, zdolny wykazać w sposób dobitny wyrazistość pisma dziecka. Redaktor naczelny pewnego wiedeńskiego pisma, w którem drukowałem moje studja grafologiczne, otrzymał pewnego razu list od kierownika szkoły, piszącego, w widocznej depresji moralnej, o samobójstwie jednego ze swych uczniów. Chłopak był jeszcze przed południem tegoż dnia w szkole, potem zaś zajęty był w domu. Od tej chwili zginął po nim wszelki ślad i dopiero wieczorem znaleziono go powieszone-

Na prawo: Oto dwie próbki pisma młodocianego samobójcy, który odebrał sobie życie z powodu przemęczenia. — U góry pismo według wzoru kaligraficznego, poniżej pismo nie przymuszone, pisane „od ręki".



Na lewo: Gdyby badano pismo dzieci szkolnych napewno dałoby się uniknąć niejednej tragedji.

go w stodole. Kierownik szkoły, człowiek o dobrem sercu, który temwięcej cierpiał zpowodu wypadku, że nie mógł znaleźć wytłumaczenia, chciał zwrócić się do mnie jako do ostatniej instancji, załączając do swego listu próbki pisma samobójcy. Były to dwie próbki pisma wyjętego z zeszytu kaligrafji: jedna z nich pisana była 11 dni przed samobójstwem, druga w 2 dni przed samobójstwem. Niezwykle jednak ciekawe są notatki i obserwacje, jakie nauczyciel poczynił sobie o uczniach dokładnie 7 godzin przed samobójstwem wspomnianego poprzednio chłopca.

Moja odpowiedź na przedstawione mi pytania nastąpiła na podstawie studjów, które właśnie prowadziłem na temat pisma młodocianych samobójców. Moje obserwacje rzucają bezwątpienia dużo światła na ten przykry i jakże aktualny w dzisiejszych czasach problem.

Jak wynika z kaligraficznej próby pisma chłopca, nie był on dzieckiem przeciętnem, lecz nosił w sobie zarodki wybitnej indywidualności i dobrych cech charakteru. Zgadzało się to z ogólną opinją ludzi, którzy go znali. Z pisma wynikało niezbicie, że chłopak był pod uciskiem wrogich okoliczności. Widać też było, że był on przemęczony pracami w domu i w szkole, równocześnie zaś cierpiał jego samodzielny charakter z powodu otoczenia, z którem był w ciągłej niezgodzie. Chciał wybić się ponad otoczenie, ale opanowywała go manja prześladowcza, że nie będzie się mógł wyzwolić z pod jego wpływu. Równocześnie czuł się przygnębiony z powodu istniejącego lub wyimaginowanego kalectwa. Wywnioskowałem z pisma, że chłopak był niezwykle uważny w szkole, a nauczyciel nieraz zauważał u chłopca prawdziwy głód wiedzy, równocześnie jednak trzymanie się jego działało niepokojąco, zwłaszcza pozycja głowy i układ nóg i to w chwilach, gdy chłopak był zajęty pisaniem. Oczywiście, że zauważył on, iż swobodne pismo chłopca odbiegało od wzorów szkolnych, a w dalszym ciągu łatwo z tego wnioskować, jaką siłą woli zmuszał się chłopak do trzymania się tych wzorów. Wykazują to zresztą dwie próbki pisma, które są tak odmienne, iż trudno przypuścić, że pochodzą od jednej i tej samej osoby. Im bardziej swobodnie chłopak pisze, tembardziej stają się widoczne chorobliwe niejako zmiany pisma. Z tego drobnego, ale jakże wzruszającego dokumentu ludzkiego charakteru wyłaniają się liczne cechy, wskazujące na nerwowość dziecka. Przyjrzyjmy się tylko temu trzęsącemu się pismu, a zobaczymy w jakim stanie rozstroju znajdowała się dusza dziecka. Należy zauważyć różnicę w kierunku wierszy, co wskazuje na chorobliwe właściwości chłopca, zwróćmy też uwagę na skurczone powiedziałbym litery h, podczas gdy niektóre zawijasy litery d wychodzą poza zwykłą granicę. Jednem słowem jest to pismo człowieka chorego duchowo, który wpada w stan podniecenia i w takich razach nie wie co czyni.

Na pytanie „dlaczego popełnił samobójstwo" nie można odpowiedzieć jednostronnie. Istnieją ślady duchowego rozstroju, które rozwijały się dzięki nieszczęśliwym okolicznościom, na tle jego niezadowolenia, braku radości życia. Dziecko posiadało w swym charakterze inklinację do wesołości, która jednak pod obuchem zbyt wielkiej pracy zanikła. Ale w chwili, gdy dziecko popełniło samobójstwo nie miało wyobrażenia o tem co czyni. Głównym powodem tego czynu był brak zrozumienia przez otoczenie: rozmowa z nauczycielem byłaby napewno uratowała dziecko, przyczem inicjatywa musiałaby wyjść od samego nauczyciela.

Kilka tygodni po badaniu przezemnie pisma chłopca otrzymałem od nauczyciela list, w którym m. i. pisze:

„Ze zdziwieniem znalazłem w pańskim liście wierny opis mojego ucznia. Znajduję w charakterystyce jego rzeczy, które mi były nieznane, a których istnienie potwierdziły fakty. M. in. pisze pan, że „chłopak jest niezwykle przemęczony pracą w szkole i w domu", a na innem miejscu, że „ma inklinację do wesołości, która pod wpływem zbyt dużej pracy została pogrzebana". Otóż obecnie, gdy dowiedziałem się o strasznych poprostu szczegółach z życia tego chłopca, uważam przemęczenie za główny powód samobójstwa. Dowiedziałem się, że już jesienią chłopak sam musiał orać i bronować na polu swego ojca, co przy ciężkiej glebie naszych okolic jest zadaniem niewspółmiernem do sił chłopca. Gdy pytałem się, jak dawał sobie radę z pracą, odpowiadano mi, że miał zawsze dużo zbywającego czasu do nauki. Podkreśla pan niepokój w postawie chłopca: uderzyła ona również i mnie. Nie znalazłem jednak na to wytłumaczenia. Teraz wiem, że powodem było przemęczenie".

Można było uratować to nieszczęśliwe dziecko, gdyby wcześniej poddano jego pismo analizie. A przecież tyle jest sposobności do regularnego badania pisma dzieci, bo nauczyciel ciągle styka się z niem a również rodzice chętnie przeglądają zeszyty swoich dzieci. Chodziłoby tylko o to, aby nie zwracali uwagi jedynie na kaligraficzną piękność tego pisma, lecz na cechy charakteru, odzwierciedlające się w piśmie. Trzeba przy tej sposobności podkreślić, że należy rozróżniać między pismem „szkolnem" a tem, którem posługuje się dziecko „na własny użytek", tj. nie przeznaczonem dla nauczycieli i osób starszych. Pierwsze trzyma się ściśle wzorów kaligraficznych, drugie odzwierciedla w pełni duszę piszącego. Dlatego też ile rozczarowań i przykrości zaoszczędziliby sobie i dzieciom swoim rodzice, gdyby przy rozpoczęciu nowego roku szkolnego przejrzeli pismo dzieci z roku poprzedniego. Z łatwością poznaliby wzrastającą nerwowość piszącego. Trzeba zaznaczyć, że „wciskanie" budzącego się charakteru dziecka w „mundur wzorów kaligraficznych" staje się męką dla zdolnych uczniów; jest to zresztą temat niezwykle obszerny, który zależnie od jednostki ciągle się zmienia, dzieci bowiem posiadają już konkretne cechy charakteru, wyrażające się w piśmie w sposób, dla wtajemniczonego wyrazisty i pewny. W piśmie tem spotkamy duże i małe tajemnice tych dzieci, ich marzenia i sny, a nawet takie rzeczy, które nie są znane im samym, ani też otoczeniu.





PRZEBUDZENIE
Artystka filmowa Isa Miranda



[PRZEBÓJ MUZYCZNY „ASA":]

# MARKIZA

## TANGO

JERZY WILLNET

*MODERATO.*

f p f mf p p p mf

# Życie artystyczne

## „TRIO POŹNIAKA" W KRAKOWIE



Prawdziwem wydarzeniem artystycznem w sezonie koncertowym Krakowa był występ słynnego „Tria Poźniaka", zorganizowany przez ruchliwe Stowarzyszenie Muzyków Polskich w Krakowie. Świetny ten zespół kameralny, słusznie stawiany na pierwszem miejscu w Europie, prowadzony jest przez wybitnego pianistę i muzyka Bronisława Poźniaka. Widzimy go na zdjęciu (na prawo) w towarzystwie wiolonczelistki Sigrid Succo i skrzypka Eugenjusza Forstera w czasie zwiedzania Wawelu.
Fot. „As".

## „OBRONA KSANTYPY"



Wystawienie przez Teatr Polski w Warszawie doskonałej komedji obyczajowej L. H. Morstina „Obrona Ksantypy", które śmiało może być zaliczone do wyjątkowo udanych imprez teatralnych stolicy, dało też okazję Marji Modzelewskiej do stworzenia wysoko wartościowej kreacji dramatycznej, tak bardzo odbiegającej od charakteru ról, jakie przypadły w udziale tej świetnej artystce w ostatnich kilku latach. Postać Sokratesa odtworzył J. Woszczerowicz.
Fot. Dr. Azet — Kraków.

## Z TEATRU LWOWSKIEGO



Dużym sukcesem artystycznym bieżącego sezonu w Teatrze Miejskim we Lwowie stało się przedstawienie komedji Moliera „Świętoszek" z Bogusławem Samborskim w roli tytułowej. Przedstawienie to charakterem swym znacznie różniło się od przedstawienia „Świętoszka" w teatrze Jaracza, niemniej jednak było wybitnie stylowe. Świetną oprawę dekoracyjną dał sztuce Mieczysław Różański.

## DZIEŁA ANTONIEGO BERTI



Na międzynarodowej wystawie w Wenecji zwracały ogólną uwagę rzeźby Antoniego Berti, odznaczające się wytwornością formy rzeźbiarskiej, wiernością charakterystyki portretowej i doskonałością technicznego wykonania. Dowodem są powyżej reprodukowane jego bronzy, przedstawiające księżne Ruspoli (na lewo) i Barbarę Hutton, obecną hr. Reventlow.

## WYSTĘPY „CYRULIKA"



W Krakowie na scenie teatrzyku „Scala" gościł zespół artystów „Cyrulika Warszawskiego". Na program tych występów złożyło się 16 obrazów doskonałej rewji satyryczno-politycznej „Coś wisi w powietrzu". Na zdjęciach: Jadzia Andrzejewska w obrazie „Autografy" (na lewo) i Lena Żelichowska w obrazie „Cyrkówka". Fot. dr. Azet — Kraków.

# NIEDOBRANE MAŁŻEŃSTWO

ESJOT

NOWELA

Zatrzymać się od pociągu do pociągu i odwiedzić mego przyjaciela w jego nowem środowisku — stanowczo powinnam to uczynić!

Na tabliczce umieszczonej na drzwiach pięknej, małej willi, wyczytałam jego nazwisko.

— Pani będzie łaskawa zaczekać, pan powinien zaraz nadejść — mówiła służąca, prowadząc mnie do salonu.

— Proszę wręczyć pani doktorowej mój bilet...

Byłam dosyć ciekawa towarzyszki, którą sobie wybrał ten kochany fantasta, ten wielbiciel hellenizmu i wolnego, zdrowego kultu piękna!

Po wyjściu służącej, rozejrzałam się po pokoju.

Portjery z najlepszego pluszu, rzeźbione meble mahoniowe, lśniąca palma, lampy z ciężkiego bronzu, jakie się zwykle otrzymuje w zamożnych mieszczańskich domach na podarunki ślubne... Nie zauważyłam nic, coby raziło oczy.

Tak, więc on tutaj żyje... to było zatem ziszczeniem jego wybujałych snów?

Cóż to? Młoda gosposia jeszcze nie nadeszła? Zapewne nie wie, czy dawnej znajomej swego męża może się pokazać w negliżu...

Drogi czas ucieka. Kto wie, kiedy znowu będę mogła przybyć w te strony.

Zagłębiwszy się w fotelu, z roztargnieniem spojrzałam na stół. Pośrodku stał talerz z majoliki, zawierający bilety wizytowe — naokoło leżały bogato oprawione książki. Po prawej stronie waza z świeżymi kwiatami, po lewej, trochę naukos od talerza, miseczka z masy perłowej, obok niej brelok z misternie rzeźbioną kameą, opodal zaś flakonik ze szkła weneckiego, który zapewne kosztował niemało soldów.

Usłyszałam jakiś ruch. Nadsłuchując niecierpliwie, wzięłam do ręki brelok i przypatrywałam się kamei, która przedstawiała subtelnie wykonaną głowę Apollina.

Powóz zajechał. Powóz? Fryderyk miał widocznie dobrą praktykę! Szczególna rzecz. Wyobrażałam sobie, że nie oprze się pokusie i będzie tłumaczył swoim chorym, że cała medycyna to blaga...

Radosny okrzyk rozbrzmiał w korytarzu:

— To cudownie! Ależ, moje kochanie, czemu...

— Zdawało mi się, że nie wypada bez ciebie...

— Głuptasku! kochany głuptasku!

Nastąpiły pocałunki przerwane pełną wyrzutu uwagą:

— Fryderyku, ona może tam usłyszeć...

— Nic nie szkodzi! — wykrzyknął swobodnie i otworzył drzwi szeroko.

— Tak, pokochajcie się! — wykrzyknął.

Z jego wysubtelnionej twarzy filozofa biła promienna radość. Młoda, miła blondynka, podała mi rękę, i wyraziła jak bardzo jej przyjemnie, że poznaje mnie, dlatego zwłaszcza, że dużo o mnie słyszała od Fryderyka. Jeśli tak serdecznie się do mnie odnosi, to dlaczego dała mi czekać na siebie tak długo?

Gdy później wyszła, aby zadysponować trzecie nakrycie do obiadu, Fryderyk odprowadził ją rozkochanem spojrzeniem. Potem wyjaśnił mi, że ten wybór podyktował mu w pierwszej linji rozsądek, gdyż jego natura wymaga towarzystwa istoty rozsądnej i dzielnej, a taką właśnie jest jego żona, ażeby usposobienie jego skłonne do gorączkowych poszukiwań i badań naukowych, utrzymywała w równowadze.

* * *

Minęły cztery lata, zanim zdarzyła mi się sposobność odwiedzenia ich dwojga i zobaczenia, co się z nimi dzieje.

Zastałam w ich domu tę samą ciszę i ten sam niezmieniony porządek wokoło. Zastanowiło mnie to. Miałam wrażenie, że przez ten czas nie używano prawie mebli w tem mieszkaniu.

Ktoś ostrożnie otworzył drzwi i cicho zamknął je za sobą.

Fryderyk podszedł do mnie starannie przyciszonym krokiem.

— Ach, jak pięknie, jak dobrze pani zrobiła przychodząc — powiedział serdecznie i podał mi obie ręce.

Zaraz po przywitaniu zauważyłam u niego jakby jakąś trwożliwość, niepewność, która dawniej była mu najzupełniej obca. Objaśnił z konwencjonalną uprzejmością, że żona jest cierpiąca, ale jednak pójdzie się dowiedzieć, czyby mnie nie mogła przyjąć.

— Teresa prosi, aby pani jutro zechciała nas odwiedzić...

Zaproponował wspólne spędzenie wieczoru w ogrodzie przy muzyce.

Szybko minęło nam parę miłych godzin, pod rozłożystemi drzewami przy dźwiękach oddalonej muzyki i wśród ożywionej rozmowy.

Fryderyk okazał się przecież takim jak dawniej. Było w nim coś z poety, który umiał nadawać nowe kształty odwiecznym snom ludzkości, a miał również zapędy refomatorskie.

— Ależ, cóż pan zrobił ze wszystkiemi najistotniejszemi pragnieniami swej duszy w obecnym trybie swego życia?

Jeszcze te słowa nie przebrzmiały na mych wargach, gdy już pożałowałam tego pytania, tak bolesny uśmiech był na nie odpowiedzią...

Nazajutrz przyszedł Fryderyk do mojego hotelu. Oczy jego były bez blasku, a na inteligentnej, żywej twarzy, malowało się niezadowolenie i znużenie.

— Musi pani wybaczyć — rzekł cicho. — Teresa nie czuje się jeszcze tak dobrze, by móc się z kimkolwiek widywać.

— Mogłaby zebrać siły i zapanować nad sobą, ale nie chce. Nie chce mi dać tej radości — szeptał z tłumionym gniewem.

Niecierpliwie odrzucił głowę w tył i z westchnieniem powiódł ręką po czole i włosach.

— A ja tak bardzo potrzebuję wesołości i pogody! Niestety, tak jak dzisiaj i wczoraj — tak jest u nas zawsze... Zawsze...

— Czy nie może pan wpłynąć na nią jako lekarz? Takie uparte zasklepianie się młodej kobiety w sobie, jest przecież chorobliwe!

— Jako lekarz? Wszakże ona myśli, że to ja jestem chory, a ona zdrowa! A przecież tak nie jest... Nie może mi przebaczyć śmierci naszego dziecka...

Patrzył przed siebie nieruchomo, jakby w bezdeń smutku.

— Jakże tak można? — szepnęłam. — Tem przecież rządzi Przeznaczenie!

Wzruszył ramionami.

— Powinienem był pomóc...

I opowiedział cichym, znużonym głosem, że gdy miasto nawiedziła epidemja szkarlatyny, żona zażądała, żeby ze względu na dziecko odmówił leczenia chorych, dotkniętych szkarlatyną. Nie uczynił zadość jej życzeniu i zawlókł chorobę do domu. Tak przynajmniej sądzi Teresa.

— Ze swego punktu widzenia ma prawo nienawidzieć — mówił w zamyśleniu — ale ona to tak czyni, jakby to było tylko jej dziecko, a przecież to był także mój syn...

* * *

Mieliśmy pójść do zaproponowanej przez Fryderyka restauracji. W drodze był roztargniony i małomówny. Nagle wyjął zegarek i rzekł:

— Jest pani osobą tak samodzielną, więc nie zrobi to pani może przykrości, jeśli pani pójdzie sama. Muszę jeszcze koniecznie odwiedzić jednego chorego, a potem się spotkamy. Dobrze?

Skinęłam głową, rozumiejąc, że wolałby teraz pozostać sam, gdyż żałuje, że otworzył przede mną swe serce.

Czekałam, tracąc nadzieję zobaczenia go.

I rzeczywiście — nie przyszedł.

Wieczorem wyjechałam.

* * *

Podczas pobytu u krewnych w innem mieście i w całkiem innej okolicy kraju, usłyszałam zapytanie:

— Zdaje mi się, że znałaś doktora Fryderyka Hartensa? Jak podaje księga adresowa, mieszka teraz tutaj, w naszem bliskiem sąsiedztwie. Może chcesz go odwiedzić?

W godzinę później miałam wrażenie, że nie było tych sześciu lat, które oddzieliły od dnia dzisiejszego moje pierwsze odwiedziny u Fryderyka. Siedziałam przy tym samym stole, przy którym wówczas oczekiwałam. Radosne promienie wiosennego słońca błyszczały na złoceniach ozdobnie oprawnych książek, otaczających stojący pośrodku majolikowy talerz, odbijały się w wazie z świeżymi kwiatami i grały delikatną tęczą na miseczce z masy perłowej. I znowu obok niej leżał brelok z głową Apollina, a opodal ów flakonik z szkła.

Wtem weszła pani Teresa. Nie zmieniły się jej układne ruchy i wyraz twarzy, jak gdyby w tem zastygła. Ale wytworzyło się w niej coś staropanieńskiego, ów upór, który młodej, delikatnej twarzyczce nadawał dobitny wyraz.

Podałyśmy sobie ręce.

— Z przykrością dowiaduję się, że Fryderyk wyjechał...

— Mój mąż mnie opuścił — brzmiała krótka, ostra odpowiedź.

— Istotnie tego nie przypuszczałam — odrzekłam otwarcie. — Jakżeż to się mogło stać?

Nie oczekiwałam wyjaśnień. Ale Teresa opowiedziała mi historję swego nieszczęśliwego małżeństwa z zupełną pewnością siebie, która wskazywała na to, jak silnie jest przekonana o szczerości współczucia, okazywanego jej przez wszystkich. Mówiła o daremnych staraniach i próbach zrobienia z Fryderyka statecznego, użytecznego i praktycznego człowieka. Przez pewien czas zdawało się, że wszystko będzie dobrze. Ale od śmierci dziecka jego złe sumienie oddaliło go od niej i jej wpływu, coraz więcej zaniedbywał praktykę i coraz pogardliwiej wyrażał się otwarcie o swym zawodzie. Dostał się wreszcie w zgubne otoczenie, przebywał z filozofującymi biedakami i ginącymi z głodu poetami, aż stracił zupełnie poczucie przyzwoitości i rozsądku.

Słuchałam w milczeniu i byłam do głębi wstrząśnięta tem oskarżeniem, w którem tak jasno malowała się nienawiść.

— Ale przecież Fryderyk jest zacnym, uczciwym człowiekiem — rzekłam wkońcu — szuka swych własnych dróg i może pani być pewna, że w samotności odnajdzie siebie!

— W samotności? — powtórzyła, ściągając usta pogardliwie. — Fryderyk zmarniał, powiadam pani. Ponieważ wzbraniałam się zostać zwolenniczką jego nienormalnych teoryj, wyszukał sobie łatwowierniejszą przyjaciółkę.

Smutnem i rozgoryczonem spojrzeniem, błyskającem równocześnie gniewem, patrzyła wdal, jakby wyobraźnią dostrzegała tam męża z obcą kobietą. Potem spojrzenie jej padło na stół i ujrzała, że brelok z głową Apollina, który podczas jej opowiadania machinalnie wzięłam do ręki, położyłam na jednym z albumów.

Trzymając w lewej ręce mokrą od łez chusteczkę, wzięła prawą brelok, położyła go napowrót obok szklanego flakonika i miseczkę z masy perłowej posunęła najdokładniej na to miejsce, na którem stała poprzednio, na lewo, trochę naukos od talerza z majoliki...

* * *

Wtedy zrozumiałam mego biednego przyjaciela i usprawiedliwiłam go w mojem sercu...



**AFRYKA POD BRONIĄ...**

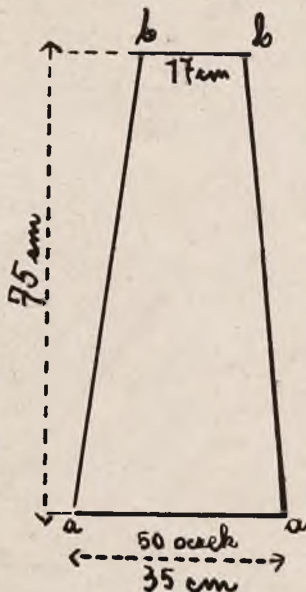
Wobec rosnącego napięcia między Francją a Włochami, kolonjalne siły wojskowe Francji nabrały dużego znaczenia, to też odbywają liczne ćwiczenia i parady przed swemi władzami wojskowemi. (Fot. Atlantic)

# SPÓDNICZKA do kostjumu tenisowego

★



Oto spódniczka własnej roboty do kostjumu tenisowego.




Schemat kroju spódniczki do kostjumu tenisowego, złożony z czterech brytów.

W dwóch poprzednich numerach podaliśmy opis shortów i pullowera, jako części kostjumu tenisowego, który składa się jeszcze ze spodniczki i żakiecika. W jaki sposób zrobić spodniczkę tego kostjumu, wykonanego z wełny na drutach, ściegiem „ryżowym", opisujemy poniżej. (Ścieg ryżowy: 1 oczko wprost, jedno na wywrót. Drugi rząd przeciwnie).

Spódniczka do naszego kostjumu tenisowego składa się z czterech brytów, jednakowej wielkości. Przed przystąpieniem do roboty, należy wyrysować sobie formę takiego brytu, którego schemat podajemy obok. W naszym modelu spódniczka ma 68 cm w pasie, 140 cm obwodu i 75 cm długości. Zależnie od danej figury trzeba te wymiary stosownie zmienić.

Po zrobieniu czterech brytów na drutach, zeszywa się je krytym ściegiem, pozostawiając z lewej strony od góry tyle miejsca bez szwu, aby zmieścił się błyskawiczny zatrzask. Przed zeszyciem i po zeszyciu trzeba bryty odprasować gorącem żelazkiem przez mokrą szmatkę, przypinając dokładnie każdy bryt do formy. Potem przyszywamy spódniczkę do gurtu, rozmieszczając szwy na środku z przodu, z tyłu i po bokach. Każdy szew ukrywamy dołem w kontrafałdzie, podobnie jak to było zastosowane przy shortach. Kontrafałdy mają po 25 cm wysokości. Zaprasowuje się je na skosach w ten sposób, że kontrafałdy są najszersze dołem a zwiężając się ku górze, giną zupełnie po osiągnięciu 25 cm wysokości.

Jak przed każdą robotą na drutach, tak i tutaj trzeba najpierw wypróbować ścieg. Podwójna nitka wełny, przy drutach nr. 4 i pół, powinna dać w robocie 35 cm z 50-ciu oczek. Od nich zaczyna się wykonanie każdego brytu. Są one całkiem łatwe do zrobienia. Litery a/b oznaczają, iż co 5 cm ujmuje się po jednem oczku, aż uzyskamy przy długości brytu 75 cm, szerokość w pasie 17 cm. (W naszej robocie wynosiło to 168 rzędów).

**Mewa.**

## NOWOCZESNA KOSMETYKA

# Z REŻIMU ZIMOWEGO KU WIOŚNIE I LATU

Wchodzimy w najtrudniejszy dla pięknego wyglądu kobiety okres roku kalendarzowego. Piękny wygląd opiera się przedewszystkiem na zdrowym wyglądzie, według słusznych nowoczesnych zapatrywań. Tymczasem, poza wyjątkowemi jednostkami, mogącemi sobie pozwolić na świeże zimowe górskie powietrze, większość kobiet, skazana na pracę w mieście, straciła już wszelkie zasoby pięknego wyglądu, uzyskane podczas urlopu letniego. Brak słońca i brak witamin w pożywieniu — to najgłówniejsze przyczyny tego stanu rzeczy. A dodajmy tutaj nieprzespane noce ubiegłego karnawału, przebywanie od czasu do czasu w zadymionych lokalach kawiarń czy restauracyj, oraz nerwowe wyczerpanie, nieuniknione w dzisiejszym trybie życia.

Więc wzdychamy do wiosny i lata, kiedy warunki klimatyczne przyjdą nam z pomocą dla pokonania skutków jesieni i zimy, znaczących się na naszych twarzach smutnemi śladami. Z reżimu zimowego przechodzimy ku wiośnie i latu.

Ale nim to nastąpi, wygląd przeciętnej kobiety pozostawia dużo do życzenia, co spostrzeżemy najdokładniej, gdy tylko zawita jasne, promienne, wiosenne słońce, ten niedyskretny reflektor twarzy. Chciałybyśmy mu wyjść na spotkanie z ogniem w oczach i z jaśniejącą cerą.

Jak to osiągnąć?

Zastosujmy co kilka dni okłady z rumianku na twarz. Zaparza się w tym celu dwie łyżeczki rumianku szklanką ukropu i pozostawia go pod przykryciem pół godziny. Następnie odcedza się rumianek i macza nim przenaczoną na okład chusteczkę czy kawałek płótna. Po wykręceniu go układamy się spokojnie na kanapie w ustronnym cichym pokoju o przyciemnionych storach i zakładamy okład na twarz. Na to zakłada się jeszcze suchy płatek w kilkoro złożony i pozostaje tak w spokoju przez pół godziny. Lepiej w tym czasie nie usypiać, ale puścić wodze myślom o sprawach miłych.

Po pół godzinie, kiedy już uczujemy, że twarz zaczyna parować, zdejmujemy okład osuszamy twarz, bierzemy trochę kremu na palce i wykonujemy niemi lekki masaż klepany. Taki sam okład można innym razem przytrzymać na szyji, która zgięta przy pracy przez długie miesiące jesieni i zimy, wykazuje o tej porze niepożądane ślady zmęczenia.

Dobre wyniki uzyskamy również stosując maseczki piękności. Można je zrobić domowym sposobem, rozbijając jedno żółtko i smarując niem twarz przy pomocy pendzelka.

Po takich zabiegach, najlepiej jest użyć na twarz płynu ściągającego pory skóry, a dopiero po nim stosuje się zwyczajny codzienny makilaż.

**Elwira.**



Okład z rumianku odświeża cerę twarzy.



Masaż „klepany" wykonany palcami czyni skórę elastyczniejszą.

# NAJCZĘSTSZE USTERKI I WADY KROJU

ŁAMIGŁÓWKI MODY MĘSKIEJ

Nigdy nie będzie dosyć przypominania naszym elegantom elementarnych zasad dobrego kroju. Ileż to razy widzimy ubrania, uszyte z pięknych, drogich materjałów, wyglądające naogół poprawnie, którym jednak „coś" brakuje. Dopiero gruntowniejsza analiza doprowadza nas do ustalenia wad i usterek ich kroju, powodujących, że daleko tym kreacjom do doskonałości. Przedstawione obok graficznie błędy, najczęściej spotykane nawet w modelach pierwszorzędnych zakładów krawieckich, otworzą niejednemu oczy i skłonią do baczniejszego kontrolowania wyników pracy mistrzów od igły. Na poprawienie niejednego będzie jeszcze czas w trakcie roboty. Ale istnieją wady, których się już nieda usunąć, gdy nożyce przykrawacza ukończą swą pracę. Dlatego najbezpieczniej omówić wszystko dokładnie po wzięciu miary i potem w czasie prób pilnować, by było skrupulatnie wykonane.

**Brummell.**

1a 1b 2b 2a 3a 3b 4b 4a 5a 5b

**białe: źle**
**czarne: dobrze**



Skombinowanie jasnego sportowego płaszcza w kratę z ubraniem wizytowem i „melonem" uchodzi u nas za curiosum — w Anglji jest wyrazem nobliwej swobody.

**1.** Kołnierz marynarki musi płasko przylegać i powinien być odpowiednio niski, by odsłaniał kołnierz koszuli przynajmniej na wysokość 2 cm.

**2.** Rozcięcia w bocznych szwach marynarki (szlice) spełniają tylko wówczas swój cel, jeśli nie są za krótkie. Prowadzimy je więc do wysokości bocznych kieszeni.

**3.** Spodnie wróciły dziś do normalnej szerokości. Dzięki temu krój ich zapobiega tworzeniu się z tyłu brzydkich fałdów.

**4.** Poprawność profilu jednorzędowej marynarki zależy w dużej mierze od umieszczenia środkowego guzika, który powinien wypaść dokładnie na wysokości talji.

**5.** Rękaw marynarki nie może w żadnym razie zakrywać mankietu koszuli. Szerokość rękawa dostosowujemy do szerokości mankietu, która powinna być nie wiele większą od przegubu ręki.

# 200 LAT SYMFONJI

Dwieście lat liczy forma symfonji, jedna z najważniejszych form muzycznych, — bezwątpienia najważniejsza w dziale muzyki orkiestrowej. Jeżeliby zaś chcieć szukać jej początków, trzebaby się cofnąć jeszcze przeszło 100 lat wstecz. Długotrwałość swego żywota zawdzięcza forma symfonji pewnej elastyczności, która pozwala jej zastosować się do potrzeb czasu i ducha każdej epoki. Zasadniczo obszerne ramy, — jak wiadomo symfonja w ścisłem tego słowa znaczeniu składa się z trzech, czterech części — pozwalały wtłaczać weń treść różnorodną, odpowiadającą danej epoce. Dlatego charakter symfonji stanowić może odbicie ewolucji i przemian ducha ludzkiego zachodzących na przestrzeni dwóch stuleci.

Symfonja w dzisiejszem tego słowa znaczeniu, wykrystalizowała się z starej barokowej suity w poł. w. XVIII. Pierwszymi jej twórcami byli kompozytorzy szkoły mannheimskiej, szkoły północno-niemieckiej i wiedeńskiej. W dziełach Mozarta, Haydna i częściowo Beethovena, osiągnęła swój pierwszy szczyt rozwoju, szczyt klasycyzmu. W odróżnieniu od starej suity przyniosła symfonja element nowy — kontrastowy na małej i wielkiej przestrzeni, dramatyczne napięcie, które doprowadziło do walki przeciwnych sił, do punktów kulminacyjnych starcia — podobnie jak w akcji scenicznej, i do rozwikłania węzła dramatycznego. Wyraża się to zarówno w kontrastach poszczególnych części, jak i w kontrastach głównych tematów muzycznych, w elementach harmonji i rytmu i t. d. U klasyków Mozarta i Haydna elementy te utrzymane są zgodnie z wymogami epoki w ramach pięknej, zrównoważonej harmonji nie w muzycznem, lecz w ogólnem tego słowa znaczeniu. U Beethovena konflikt dramatyczny spotęgował się do niezwykłych rozmiarów. Ale Beethoven swemi ostatniemi dziełami wyprzedził swą epokę. Kompozytorowie późniejsi nawiązują nie do Beethovena ostatnich dzieł, lecz do jego kompozycyj wcześniejszych. Odnosi się to do Schuberta, poczęści do Schumanna, a nawet do Brahmsa, u którego zresztą zwrot ten był świadomy i celowy. Oczywiście u tych kompozytorów także musiały przejawić się wpływy nowych prądów, nurtujących umysły ludzkie pierwszej połowy XIX wieku. Romantyzm wyraził się tutaj w elementach raczej treści niż formy. W pełni jednak wypowiada się romantyzm w twórczości Berlioza; naczelnym postulatem muzyki Berlioza jest program literacki, akcja o zakreślonym przebiegu, w której głównym motorem jest znowu osobista walka człowieka i konflikt. Kierunek ten podejmuje Liszt, u którego idea poetycka muzycznego utworu prowadzi do stworzenia nowej formy: poematu symfonicznego. W tej to przetworzonej formie symfonji znajduje pełny swój wyraz wybujałość późnego romantyzmu. Od tego czasu linja rozwoiowa symfonji rozdwaja się: jedna z nich prowadzi po torach właściwej formy symfonji i tutaj należy twórczość Brahmsa, Brucknera, Czajkowskiego, Mahlera i innych; druga do poematu symfonicznego, ściśle opartego na literackiej treści utworu, znajdując swój punkt szczytowy w twórczości Ryszarda Straussa.

Kierunek ten po części trwa do dnia dzisiejszego. Naogół jednak obecne prądy wykazują tendencje odmienne, reakcję przeciw przeładowaniu romantyzmu, a zwrot ku muzyce absolutnej, nieprogramowej i problemom formy. Dlatego kompozytorzy współcześni w poszukiwaniach tradycji, na której rej możnaby budować, zwracają się nie ku romantyzmowi, a nawet nie ku klasycyzmowi „szkoły wiedeńskiej", lecz ku dawnej suicie z epoki Bacha i Händla.

# BARWNA CHUSTA
## *służyć nam może jako...*

Jedna i tasama barwna chusteczka z jedwabiu deseniowego służyć nam może raz jako krawat przy sportowej sukience, innym razem jako okrycie głowy na wycieczkę samochodową czy narciarską, to znów jako szarfa do ciemnej wełnianej sukienki, lub wreszcie jako szalik na szyję. Wszystko zależy od naszej pomysłowości i zręczności jej związania czy upięcia, od tego szczególnego daru, który w najwyższym stopniu posiadają Francuzki. Dzięki temu utarło się przekonanie, że Paryżanka z byle strzępka potrafi zrobić cacko tualetowe, z byle szmatki stworzyć pełen smaku i szyku model. Korzystajmy z ich przykładu i uczmy się tego „génie de l'accessoire". Jeśli chodzi o rozmaite zastosowania kolorowej apaszki, kilka przykładów dadzą nam nasze ilustracje. Ale nie wyczerpują one jeszcze wszystkich możliwości. Ta sama chusteczka posłuży nam jeszcze jako kokieteryjny zawój, który możemy użyć rano do szlafroczka, kiedy fryzura jeszcze nie gotowa, albo do stroju plażowego. Ślicznie wygląda kombinacja dwóch jednakich apaszek, z których jedna tworzy zawój à la créole nad czołem związany w kokardę, druga służy nam jako pasek względnie szarfa, przy shortach lub pidżamowych spodniach, albo też jako t. zw. „bain de soleil", rodzaj staniczka podczas opalania się. Jeśli chusteczki są z gazy drukowanej, lub całkiem cienkiego jedwabiu użyć je możemy jeszcze inaczej: jedną jako szalik wsunięty w wygięcie sukni, drugą, jako chustkę do torebki, lub zaczepioną przy bransoletce na przegubie ręki.

Pewna paryska elegantka ukazała się na śniadaniu u Ritza w popielatym kostjumie z angielskiej flaneli, ożywionym małą czerwoną apaszką w białe groszki wkoło szyi i dwiema takiemiż chusteczkami, związanemi na przegubach dłoni w kształcie lekkiego motyla, tworzącemi zakończenie mankietów żakietu. Było to bardzo ładne i pomysłowe. Prawdziwa elegancja nie polega, jak widzimy, na kosztowności stroju, lecz przedewszystkiem na dobrym smaku, pomysłowości i śmiałej indywidualności w doborze szczegółów i akcesorjów.

**Lady Like.**



PRZEPASKA →



KRAWAT ↑



NAKRYCIE GŁOWY ↑



SZAL ↑

# PRZEPISY

***odnoszące się do naszego kalendarzyka – obliczone na 3–4 osoby.***

**KASZKA KRAKOWSKA WYPIEKANA.** 25 dkg kaszki krakowskiej zwaną też częstochowską, uciera się z jednem jajem, zesypuje do rondla i wstawia do średnio ciepłego piecyka. Suszyć ją należy aż do zrumienienia przy częstem mieszaniu, aby się nie przypaliła. Dwa dkg grzybów suszonych, wymytych dokładnie, gotuje się, a gdy grzyby zmiękną, zalewa się zrumienioną w międzyczasie kaszkę smakiem z grzybków. Smaku ma być około pół litra. Do kaszki dodaje się łyżkę masła, trochę soli i drobno posiekane grzybki, poczem dusi się ją pod pokrywą przez pół godziny. Do zupełnie gęstej kaszy dodaje się parę na twardo ugotowanych jaj pokrajanych w kostkę, miesza, wkłada do masłem natartej rynki, kropi masłem, i wstawia na pół godziny do gorącego piecyka. Przy wydaniu polewa się kaszkę rumianem masłem, lub podaje do niej osobno sos grzybowy.

**OMLETY FRANCUSKIE.** Kilka jaj — licząc po dwa na osobę, soli się i ubija spiralką aż się spienią, następnie dodaje się kilka łyżek zielonego groszku (z puszki) i łyżeczkę siekanej zielonej pietruszki, oraz szczyptę białego pieprzu. Jaja w ten sposób przygotowane wylewa się potrosze na rozpalone na patelce masło i wysmaża omlety, które się napełnia szynką, grzybkami, pasztetem lub jarzynkami, składa przez pół i podaje podgrzane poprzednio w piecyku.

**RAGOUT Z CIELĘCYCH MLECZEK I SALSEFJI** (przystawka). Parę mleczek odciętych z mostków cielęcych, parzy się wrzącą wodą i oczyszcza z błon i żyłek. 25 dkg zmieszanej salsefji obiera się szybko i zanurza do wody zmieszanej pół na pół z mlekiem i zakwasz łyżką octu. Czynność ta zapobiega czernieniu jarzyny. Wyjęte i opłukane korzonki, gotuje się w słonej wodzie. Z łyżki masła i mąki sporządza się zasmażkę, rozprowadza ją mlekiem, wkłada do tego sosu pokrajaną, podgotowaną już salsefję i kawałeczek skórki cytrynowej, nakrywa i dusi przez 15 minut, poczem dodaje się pokrajane w kostkę mleczka i dusi dalsze 15 minut. Ragont podprawia się solą i sokiem cytrynowym, dodaje, o ile sos jest za gęsty, troszkę słodkiej śmietanki, zagotowuje i wydaje obłożone krokietkami lub grzankami. Potrawa ta nadaje się również do nakładania na muszelki.

**KURA DUSZONA Z JARZYNAMI NA SPOSÓB SZWAJCARSKI.** Młodą kurę opieka się na maśle i dusi następnie przez 35 minut pod przykryciem. Niezupełnie jeszcze miękką, kraje się na części i układa napowrót w rynce, poczem dodaje się po troszce różnych jarzyn (prócz buraków), np. kawałek selera, pietruszkę, marchew, szalotki, kalarepkę, kalafior, salsefię, parę pieczarek, wszystko niezbyt drobno pokrajane. O ile sosu jest mało, dolewa się rosołem z kości cielęcych lub podróbek. Kiedy jarzyny są już prawie miękie, dodaje się trochę malutkich wykrawanych ziemniaczków, które należy przedtem sparzyć wrzątkiem. Sos doprawia się sokiem cytrynowym, kostką cukru ewent. solą i papryką. Jarzyny powinny być miękie, lecz nie rozgotowane, tak samo ziemniaczki. Wyjęte z sosu kawałki kury układa się na półmisku i otacza jarzynkami wraz z sosem. W Szwajcarji skąd przepis ten pochodzi, dodaje się pod koniec duszenia parę frankfurckich kiełbasek, pokrajanych w plasterki, z któremi potrawa się dodusza. Nie sądzę jednak, aby ten dodatek znalazł u nas uznanie. Podaję go trzymając się ściśle recepty.

**PIANKA CZAROWNIK.** Duże upieczone przetarte przez sito jabłko, 3 łyżki marmolady morelowej, 10 dkg cukru i 2 białka uciera się nową łyżką tak długo, aż się utworzy sztywna żółtawa pianka. Wkońcu dodaje się łyżkę rumu. Piankę układa się na szklanym talerzu, wokoło biszkopty lub wafle.

**KRUCHE CIASTKA Z SUSZONEMI MORELAMI.** 12 dkg dobrze wyciśniętego białego sera, 12 dkg masła i 16 dkg suchej mąki, troszkę soli i na końcu noża proszku do pieczywa, zagniata się szybko na ciasto, wałkuje na grubość grzbietu noża i kraje na kwadraty wielkości dłoni. Na środek każdego kawałka kładzie się suszoną morelę oraz małą kostkę cukru, przykrywa drugą połówką moreli, a zebrawszy wszystkie cztery końce ciasta, umieszcza się je na wierzchu złączone razem. Ciastka piecze się w gorącym piecu na rumiano. Gorące jeszcze posypuje się suto cukrem pudrem. Suszone morele należy w przeddzień namoczyć w ocukrzonej wodzie, a przed użyciem wyłożyć na czystą ściereczkę celem osuszenia z wody.

**GLAZUROWANE DAKTYLE.** (Przepis amerykański). 25 dkg obieranych migdałów miele się, dodaje 25 dkg cukru i parę łyżek wody różanej lub pomarańczowej, poczem miesza się na ogniu tak długo, aż się utworzy gęsta masa, z której się dają formować małe wałeczki wielkości pestki daktyla. Z daktyli wyjmuje się pestki i na ich miejsce wkłada się przygotowaną masę, poczem nabija się każdy owoc na ostre drewieńko, macza w bardzo gęstym syropie i ustawia drewienka wolnymi końcami w blaszanem sicie w ten sposób, aby syrop mógł w powietrzu obsychać. Na syrop gotuje się 25 dkg cukru z 1/4 litra wody tak długo, aż cukier zdmuchnięty z łyżeczki, tworzy nitki lub pęcherzyki.

**Sc. Ko.**



# PRAKTYCZNE WSKAZÓWKI DLA PAŃ DOMU

Niema nic brzydszego nad szyby i lustra, które pozbawione są „wrodzonego" im połysku, to też musimy dbać o to, aby były one zawsze czyste. Lustra i szyby doprowadza się do wzorowej czystości i połysku, przecierając przed myciem przekrojoną cebulą, której sok usuwa z nich brud i nadaje blasku tafli szklanej.

## 7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI

***Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone.***

| Święta rzym.-kat. | Tydzień 12 **Marzec** Dni 31 |
|---|---|
| Niedziela **19** Józefa Ob. NPM. | Krupnik z podróbkami. Ragoût z ciel. mleczek i salsefji. Perliczka z kompotem. Ciastka kruche z morelami. <u>Kolacja</u>: Ozór wołowy z ostrą sałatką. |
| Poniedziałek **20** Joachima | Pomidorówka węgierska z kluseczkami. Omlety francuskie. Bitki w śmietanie z ryżem. Kompot z suchych śliwek. <u>Kolacja</u>: Kaszka krakowska wypiekana. |
| Wtorek **21** Benedykta | Rosół z lanym makaronem. Sztuka mięsa z sosem jajecznym. Kura po szwajcarsku z jarzynami. Biszkopt z pianką. <u>Kolacja</u>: Szpinak z jajami sadzonemi. |
| Środa **22** Bogusława | Barszcz na wędzonce z fasolką. Gołąbki z kapusty i ryżu. Nerkowa pieczeń z marchewką. Budyń orzechowy. <u>Kolacja</u>: Wędzonka z purée grochowem. |
| Czwartek **23** Wiktoriana | Zupa z zielonego groszku z płatkami. Faszerowane ziemniaczki. Pieczeń wieprzowa na dziko z czerwoną kapustą. Krem waniljowy z waflami. <u>Kolacja</u>: Bigos. |
| Piątek **24** Gabriela Arch. | Zupa pieczarkowa z groszkiem ptysiowym. Makaron z parmezanem. Sandacz w sardelowym sosie z tartemi ziemniaczkami. Buchtle. <u>Kolacja</u>: Śledzie marynowane. |
| Sobota **25** Zwiastow. NPM. | Rosół z tartem ciastem. Bulwy i salsefia w sosie holenderskim. Kotlety wieprzowe duszone z kminkiem. Kompot. <u>Kolacja</u>: Hachée z mięsa rosołowego. |




## PRZED SĘDZIĄ ŚLEDCZYM.



Oskarżony: — Jak wynika z mojego dzienniczka nie okradłem w dniu 15 lipca żadnego banku! „Esquire".

## WIELKI OBRÓT.



Klientka do właściciela składu żelaza: — Potrzebuję sześć takich kluczyków, proszę pana! „Esquire".

## ŚWIETNA DJAGNOZA.



Żona do przyjaciółki: — Kazałam mojego męża zbadać przy pomocy testów i oświadczono mi, że jest to natura typowego dyktatora. „Esquire".

## *Rozwiązanie z Nru 11-go.*

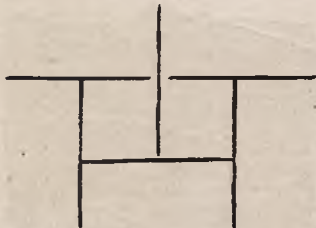
### ILE STRACIŁ.

Szewc stracił parę butów (ceny kosztu butów nie znamy) i 4 zł reszty, które wydał panu X.

### DRUGI TEST PROF. MNOŻNIKA.

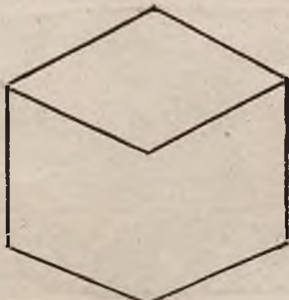
Przyjaciel p. Kanarka stracił na kupnie zegarka, ponieważ aby wykupić zegarek musiał zapłacić w lombardzie 60 zł. Jeśli dodamy do tego cenę, za którą kupił kwit (60+40), to się przekonamy, że zegarek kosztował go aż 100 zł.

### ZADANIE Z ZAPAŁKAMI.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

### SZEŚCIOKĄT Z ZAPAŁEK.



Rysunek wskazuje rozwiązanie zadania.

### ZEGAR RATUSZOWY.

Zegar ratuszowy wydzwoni godzinę dwunastą w ciągu 27½ sek.

### PRACODAWCY.

Pierwszy pracodawca zatrudnia 66 ludzi.

### CYKLIŚCI.

Trasa wynosiła 119 km.

### BECZKI Z WINEM.

Zgodnie z warunkami zadania każdy wspólnik winien otrzymać 7 beczek (niezależnie od zawartości) i 3½ beczki wina. Warunki te spełnić można dzieląc beczki w dwojaki sposób. Albo 1) A i B biorą każdy po 2 pełne, 2 puste i 3 półpełne beczki, a C bierze 3 pełne, 3 puste i jedną półpełną.

Albo 2) A i B biorą po 3 pełne beczki, 3 puste i 1 półpełną, a C bierze 1 pełną, 1 pustą i 5 półpełnych.

### KOSZ JABŁEK.

Jabłek było 58. 58 podzielone kolejno przez 3, 4, 5 i 6 nie dzieli się bez reszty, a pozostaje jeszcze do podziału 1, 2, 3 i 4.

## W REDAKCJI TYGODNIKA.




Młoda autorka do przyjaciółki: — Sprzedałam moje wspomnienia i przeżyłam chwile, które pozwolą mi napisać ciekawe impresje... „Esquire".

# ROZRYWKI UMYSŁOWE

### NA ŚLUZIE.

Śluza łączy 2 kanały. Na śluzę wjechał statek o wadze 20 tonn. Jaś, który siedział na jednym z palów śluzy, zaczął zastanawiać się, ile też zwiększy się parcie wody na pale śluzy po wjechaniu statku?

### ANTEK I ZOSIA.

Antek w przystępie dobrego humoru dał siostrze połowę pieniędzy, które miał w kieszeni. Zosia, chcąc również okazać się szlachetną, dała zkolei bratu ¼ posiadanych obecnie pieniędzy.

Okazało się, że każde z dzieci ma teraz po 5.25 zł.

Po ile złotych mieli Antek i Zosia początkowo?

# TO CO NAJCELNIEJSZE

## PRZECZYTAMY:




Podjętą w r. 1519 przez, będącego na służbie króla hiszpańskiego, bohaterskiego Portugalczyka, Ferdynanda Magellana wyprawę żeglarską dookoła świata niewątpliwie słusznie nazywa Stefan Zweig najwspanialszą odyseą w historji ludzkości. Wyruszył Magellan na odkrycie przesmyku, łączącego dwa oceany, z zamiarem opłynięcia kuli ziemskiej dookoła, na pięciu statkach z załogą 265 ludzi. Po niezwykle dramatycznych przeżyciach odkrył w Poł. Ameryce cieśninę nazwaną później jego imieniem, przemierzył ją jako pierwszy Europejczyk, jako pierwszy przepłynął Ocean Spokojny, dokonując wielu odkryć, by niemal przypadkowo, w najnieszczęśliwszym zatargu z mieszkańcami jednej z odkrytych przez siebie wysepek na Filipinach, zginąć w dniach największego triumfu. Z wyprawy powrócił tylko jeden żaglowiec z 18-ma ludźmi.

Zweig o czynie i postawie życiowej Magellana pisze z niekłamanym podziwem i entuzjazmem, z ubożuchnych materjałów wydobywając prawdę o genjalnym człowieku, kreśląc jego, na podstawie czynów bezwzględnie uczciwy, bezkompromisowy, heroiczny charakter, dając bardzo wyrazisty portret psychiczny nieustraszonego żeglarza. Ale Zweig równocześnie jest objektywny; ujawnia błędy Magellana, choć zasługują na u sprawiedliwienie, nie potępia otoczenia genjusza, jak to czynili dawniejsi kronikarze, przeciwnie, bardzo przekonywująco rozmieszcza światła i cienie i uzasadnia je wystarczająco.

Książka Zweiga o Magellanie jest lekturą pasjonującą. Ukazała się ta książka, w naogół poprawnem tłumaczeniu Z. Petersowej, w bardzo starannej szacie zewnętrznej, bogato ilustrowana cennemi dokumentami, nakładem zasłużonego wydawnictwa J. Przeworskiego w Warszawie. Okładkę projektował A. Wajwód. **(swb.).**

## CZY OGLĄDNĘLIŚCIE:

### WYSTAWY GRAFIKI W ODDZIAŁACH I. K. C.?

We wszystkich oddziałach IKC urządzone zostały wystawy akwafort, drzeworytów i miedziorytów: W. Bieleckiego, W. Chomicza, K. Dzielińskiego, S. Jakubowskiego, J. Nowotnowej, S. Raczyńskiego, P. Stellera, S. Szwarca i W. Zakrzewskiego. Prace te nabywać można w sprzedaży subskrypcyjnej po cenach znacznie zniżonych (od 6—12 zł). Bliższe informacje ogłoszone zostały w dodatku fotograficznym do IKC z dnia 6 bm. Zamówienia wysyłać należy pod adresem W. Zakrzewskiego, Kraków, Al. Słowackiego 37.

•



Reprodukujemy dzisiaj drzeworyt J. Nowotnowej „Widok z Wawelu", jedną z wielu prac biorących udział w akcji subskrypcyjnej.

## IDZIEMY DO TEATRU...

**...W WILNIE:**

— do **Teatru Miejskiego** na Pohulance, gdzie — obok **„Sędziego z Zalamei"** Calderona i **„Gałązki rozmarynu"** Z. Nowakowskiego, dwóch sztuk, które stały się „żelaznym kapitałem" obecnego sezonu — grane są teraz: nowa sceniczna przeróbka świetnej powieści M. Choromańskiego **„Zazdrość i medycyna"**, dokonana przez autorkę „Jej syna", Walentynę Alexandrowicz, oraz komedja Grzymały-Siedleckiego **„Spadkobierca"**, wznowiona z okazji jubileuszu 30-lecia pracy scenicznej Haliny Dunin-Rychłowskiej, doskonałej odtwórczyni roli babuni.

Naszem zdaniem „Zazdrość i medycyna" nie nadaje się na przeróbki sceniczne. Już raz dokonano tego eksperymentu; obecny jest szczęśliwszy od poprzedniego, z jakim wystąpiła Warszawa. Niemniej jednak i przeróbka W. Alexandrowicz spotkała się z surową przyganą krytyki, zwłaszcza M. Limanowskiego, który wszakże stwierdził objektywnie, że autorka przeróbki znakomicie gra rolę Rebeki. Z innych wykonawców na specjalne wyróżnienie zasługuje J. Balicki (dr Tamten), Jaśkiewicz (Widmar), Nowosad, Karpiński, Żuliński. Inscenizacja i reżyserja spoczywała w rękach dyr. Kielanowskiego, a trudną i pomysłową oprawę dekoracyjną dał W. Makojnik. „Spadkobierca" jest też przeróbką z powieści, ale dokonaną przez samego autora, tj. Grzymałę-Siedleckiego. Zresztą przerabiał on „Spadkobiercę" dwukrotnie. Krytyka wileńska serdecznie podkreśla doskonałość gry jubilatki H. Dunin-Rychłowskiej, która potwierdziła „w całej pełni ogólną opinję o niezwykłej intuicji artystki, jej inteligentnem i subtelnem przenikaniu roli i odczuciu zamierzeń autora". Rolę tytułową gra sympatycznie W. Surzyński, inne zaś znalazły dobrych odtwórców w W. Szczepańskiej (Katarzyna), Nawrockiej (Wikta), Jasińskiej (Bitkowska), Wołłejce (Siekierka senior), Tatarskim (Siekierka junior), Kępce-Bajerskim (Ćwierciak), Czaplińskim. Komedję opracował reżysersko K. Wyrwicz-Wichrowski.



**Scena z powieści „Zazdrość i medycyna" M. Choromańskiego w opracowaniu scenicznem W. Aleksandrowicz. Na zdjęciu W. Alexandrowicz (Rebeka) i S. Jaśkiewicz (Widmar).**

**...W KRAKOWIE:**

— na **„Temperamenty"** A. Cwojdzińskiego, świeżo, po sukcesie warszawskim, wystawione przez **teatr im. J. Słowackiego**, pod kierunkiem reżyserskim J. Karbowskiego.

„Temperamenty" — jak wiadomo — są scenicznym popularnym wykładem teorji konstytucjonalnej Kretschmera, są równocześnie przemiłym żartem na temat demonstrowania jego nauki na żywych przykładach. Wprawdzie „Temperamenty" nie dorównują poziomem artystycznym i literackim poprzednim sztukom, „Teorji Einsteina", a przedewszystkiem „Freuda teorji snów", niemniej jednak na tej inteligentnej i dowcipnej sztuce spędzić można wieczór bardzo pożytecznie, miło i pouczająco. Komedja Cwojdzińskiego grana jest przez artystów krakowskiego teatru poprawnie. W przedstawieniu biorą udział: J. Brochocka, H. Bielska, W. Niedziałkowska, J. Korecka, J. Jaroń, J. Ziejewski i S. Czajkowski, który dał najlepszą kreację aktorską z pośród wszystkich wykonawców, stwarzając pyszny typ malarza schizofrenika.

**(b.).**



**Scena z II aktu komedji A. Cwojdzińskiego: „Temperamenty", granej przez teatr im. J. Słowackiego w Krakowie. Na zdjęciu od lewej: J. Jaroń, W. Niedziałkowska, J. Ziejewski, S. Czajkowski i H. Bielska.**

## NA POLSKIEJ ANTENIE:

Przyjacielem radja jest ten, kto korzysta z niego rozumnie, według zgóry powziętego planu. A plan ten powinien być przygotowany z programem w ręku. Trzeba wiedzieć co się dzieje w eterze, a wtedy korzystać się będzie z dobrodziejstwa radjofonji pożytecznie, miło i twórczo. Nie traćmy czasu na szukanie audycyj odpowiadających naszemu nastrojowi i naszym życzeniom, nie zdawajmy się na los przypadku. Nie należy też — jak się wyraził J. Tepa — pospolitować i gwałcić aparatu radjowego przez bezmyślne nadużywanie go. Wybierajmy sobie zgóry audycje najciekawsze dla nas i najlepsze.

**19 marca.**

Dzień 19 marca, rocznica imienin Marszałka J. Piłsudskiego, poświęcony jest przypominaniu nieustannej aktualności ideologji i wskazań Wielkiego Marszałka. O godz. 19.00 przemówi z Zamku Królewskiego w Warszawie Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Program muzyczny przewiduje m. in. o godz. 10.45 „Pieśni o wolności", przegląd polskich pieśni wojskowych od „Bogurodzicy" do „Pierwszej Brygady"; o godz. 19.15 fantazję radjową M. Rudnickiego „Szlakiem Marszałka Józefa Piłsudskiego". O godz. 21.15 usłyszymy audycję słownomuzyczną „W cieniu miecza". O g. 17-tej teatr Wyobraźni nada sceny z „Dziadów" Mickiewicza.

**Muzyka od 20—25 marca.**

W **poniedziałek**, 20 bm. o godz. 21-szej, grać będzie przed polskim mikrofonem klawesynistka niemiecka Stella Michalke, która wykona m. i. polskie tańce, zapisane w starej tabulaturze z XVIII wieku. Klawesyn z połączeniem viola d'amore usłyszymy **we wtorek**, 21-go bm. o godz. 22.30. Grać będą na tych instrumentach M. Szaleski i M. Trombini Kazuro. Tegoż dnia, o godz. 21-szej, usłyszymy koncert z Poznania, z udziałem znakomitej pianistki duńskiej France Ellegaard. We **środę** 22-go bm., o godz. 21-szej, w koncercie szopenowskim weźmie udział pianistka francuska Colette Gaveau. We **czwartek**, 23-go bm. o godz. 21-szej, nadaje Polskie Radjo do Londynu koncert poznańskiego Chóru Katedralnego.

**Literatura od 20—25 marca.**

W **poniedziałek**, 20 bm. o godz. 22-giej, nadaje Kraków „Kochanków nieba" Calderona w radjofonizacji A. Woycickiego. Kraków też nadaje **we czwartek** 23-go bm. o godz. 21.35, w cyklu „Pochodnie wieków", audycję p. t. „Kopernik", opracowaną przez K. Grzybowską i L. H. Morstina. W **piątek** 24 bm. nada Warszawa słuchowisko sportowe J. Kempy p. t. „Chłopcy z klubu sportowego „Orion".

We **środę**, dnia 22 bm., o godz. 21.30, odsłoni przed mikrofonem tajemnice swego warsztatu literackiego znakomita autorka „Nocy i dni", Marja Dąbrowska. Z ciekawszych odczytów wymienić należy: pierwszą pogadankę Moszczyńskiego cyklu „Z życia portów", która zostanie wygłoszona w **poniedziałek**, 20 bm. o godz. 17.10; audycję prof. W. Witwickiego „Rozkwit rzeźby w Helladzie" (**wtorek** 21 bm. godz. 22) oraz prelekcję Stan. Wasylewskiego (**piątek** 24 bm. o g. 17.05) poświęconą setnej rocznicy powstania Bibljoteki Polskiej w Paryżu.

**Kompozycje, nadsyłane do działu muzycznego „Asa", zamieszcza się bezpłatnie. — Niezamówionych materjałów Redakcja nie zwraca**
**Wszelkie materjały redakcyjne należy przesyłać nieimiennie pod adresem redakcji „ASA"**
**Reklamacje w sprawie nieotrzymania lub późnego doręczania egzemplarzy należy wnosić niezwłocznie, pisemnie, do Urzędu Pocztowego (doręczeniowego), a nie wprost do Administracji.**

**Zakłady Graficzne „I. K. C.", Kraków, Wielopole 1, pod zarządem Franciszka Czajki. — Miejsce wydania: Kraków, Wielopole 1**